Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

WIONOKRĄG
TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 7 (229)
Rok VI
20 II 1966 r.

WŁODZIMIERZ ZONN

O bardzo ważnej dla nas rocznicy

Wkrótce minie 500 lat od chwili urodzin człowieka, podpisującego się skromnie „Mikołaj Kopernik z Torunia", który zmienił bieg myśli ludzkiej bardziej gruntownie niż to uczynić mogli Cezar czy Napoleon. Chcąc wprowadzić pewne reformy w rozumieniu biegu ciał niebieskich, naraził się głowom wielu kościołów, władcom państw i innym możnym tego świata. Jednocześnie zdobył niesłychany entuzjazm i uznanie u wszystkich niemalże astronomów po nim żyjących. Był więc niewątpliwie jedną - najwybitniejszych postaci nie tylko w historii nauki, lecz również w dziejach naszej kultury i cywilizacji.

Mikołaj Kopernik rodzi się na przełomie średniowiecza i czasów nowożytnych, w epoce bujnie rozkwitającego humanizmu, który już się zaczyna przedostawać z dalekich Włoch do Polski. W świat średniowieczny, pełen czarów, zabobonów i przesądów, humanizm wnosi powiew wiary w poznawalność świata przez ludzi obdarzonych tylko bystrym umysłem i dobrą wolą.

Nowy Świat, który za czasów dzieciństwa Kopernika był krainą zamieszkałą przez jednookich cyklopów, spowitą trującymi wyziewami mgły, staje się nagle pojęciem geograficznym. Dokonuje tego „urzeczony gwiazdami" Kolumb na trzech bardzo źle wyekwipowanych statkach.

Nowy kosmos pozostaje jednak wciąż nieodkryty. Rządzą nim w dalszym ciągu niezrozumiałe tajemnicze prawa i niezrozumiała mistyczna geometria. „Jego cechami były geocentryzm, statyzm, hierarchizm i bezwzględność... Planety i konstelacje zdawały się po to istnieć, aby kształtować swym wpływem astralne dusze ludzkie i wypadki ziemskie. Był zbudowany hierarchicznie: „na dole" — świat podksiężycowy — naprzód ziemia, potem coraz doskonalsze elementy: woda, powietrze, ogień — „na górze" sfery coraz wyższe, aż po kryształowe primum mobile, a potem empireum — hierarchia sfer anielskich, cherubinów i serafinów... Ziemia była środkiem i dnem wszechświata i przez to samo miejscem szczególnie wyróżnionym, kosmicznym ściekiem zła, padołem płaczu"... (J. Wasiutyński „Kopernik").

Za sprawą Kopernika wszystko to przestało być ważne. Znika odwieczny bezruch Ziemi nadający jej sprawom znaczenie nadrzędne, lub podrzędne. Znika w związku z tym wszelka hierarchia ciał we wszechświecie, podział świata na „wyższy" i „niższy", „boski" i „ziemski". Zmienia się też gruntownie rola człowieka tak bardzo wyróżniona przez astronomię starożytną. Wielki Samotnik przestaje nim nagle być. Mieszkaniec jednej tylko z wielu planet nie może już rościć pretensji do odgrywania na świecie roli wyjątkowej. A zdrowy rozsądek podsuwa mu myśl, że na innych planetach mogą istnieć również istoty rozumne, o tym samym, co on „znaczeniu". W ten sposób pojęcie większego lub mniejszego „znaczenia" w przyrodzie przestaje mieć sens. W naturze wszystko podlega jednakowym prawom. Ruchem Ziemi rządzi to samo prawo, co i ruchem kamienia rzuconego ręką chuligana.

Wprawdzie teoria Kopernika obdarzyła, jak wiemy, wyjątkową rolą Słońce, czyniąc zeń ciało centralne w naszym układzie planetarnym. Wkrótce jednak zrozumiano, że centralne położenie Słońca wcale nie oznacza jego wyróżnionego położenia w kosmosie. Domyślił się tego w kilkanaście lat po śmierci Kopernika słynny Giordano Bruno, za co został spalony na stosie. To zaś, że Słońce jest ciałem centralnym w naszym układzie planetarnym jest, jak wiemy, wynikiem tylko tego, że ma olbrzymią w porównaniu z planetami masę. Niczego więcej.

Tak w niedawnym skrócie i uproszczeniu można by przedstawić filozoficzne konsekwencje teorii „sarmackiego głupca", jak pogardliwie nazwał Kopernika wielki reformator Luter, który w walce przeciw idei kopernikowskiej okazał się raczej prostaczkiem.

Inną zupełnie taktykę zastosował Kościół katolicki. Wszystko wskazuje na to, że jego władcy wcześniej już zrozumieli trafność idei heliocentrycznej i dlatego nie próbowali jej zwalczać z pozycji naukowych, jedynie z pozycji wiary.

Jest w tym pewna konsekwencja. W sprawach nauki wszyscy są omylni, nawet Kopernik i późniejszy Newton. Leży bowiem w istocie ducha nauki odmowa uznania słuszności każdemu twierdzeniu lub teorii naukowej. Uznanie czegoś za bezbłędne od razu wtrąca naukę w stan bezruchu, czyni ją zatem czymś bezużytecznym. Tymczasem w sprawach wiary nie ma w ogóle omylności...

Nie dziwmy się przeto, że „De Revolutionibus" zdjęto z indeksu dzieł zakazanych przez Kościół dopiero na początku XIX wieku, w 250 lat po śmierci Kopernika i w 150 lat po opublikowaniu przez I. Newtona jego „Principiów". Jeśli Newton nie zdołał przekonać ojców Kościoła o słuszności teorii heliocentrycznej, jakież inne argumenty mogły ich przekonać?

Zdjęcie z indeksu „De Revolutionibus" nie było więc aktem przyznania przez Kościół słuszności teorii heliocentrycznej, ani przerwaniem walki prowadzonej przeciw tego typu ideom. Było jedynie wycofaniem się z pewnego odcinka, którego bronienie zaczęło wyraźnie szkodzić prestiżowi Kościoła. To jednak, co stanowiło podłoże walki, sprzeciwianie się Kościoła każdemu nowemu widzeniu świata, każdej nowej rewolucyjnej idei naukowej, również i dziś jest przyczyną nieustannych spięć dramatycznych. Oto dlaczego między innymi warto myślami wracać do tamtych postaci, aby otarłszy je z kurzu dostrzec nagle rysy jakże bliskich nam cierpień i zmagań. Aby odczytać dzieje, które nigdy się nie powtórzą, a które jednak raz po raz się powtarzają.

My, Polacy, mamy jeszcze inny powód do przypomnienia sobie roli sarmackiego uczonego. Za lat siedem, w r. 1973, upłynie równo 500 lat od chwili jego urodzin. Rocznica ta zwróci uwagę świata przede wszystkim na Polskę. I nie tylko na jej przeszłość, lecz również i na teraźniejszość, nikt bowiem ze zdrowo myślących ludzi nie traktuje historii jako czegoś skończonego, zamkniętego i nie mającego żadnych wpływów na stan obecny. Każda rocznica stawia pytania odnośnie do powiązań danego narodu z jego przeszłością. Czy jesteśmy potomkami tylko, czy też spadkobiercami Kopernika? A jeśli spadkobiercami, to czy w równym stopniu jak wszystkie inne narody, czy też w pewnym sensie wyższym?

Na takie pytania będziemy musieli w roku 1973 odpowiedzieć i to

CIĄG DALSZY NA STR. 2

WYSTAWA RZEŹBY ROMANA TARKOWSKIEGO

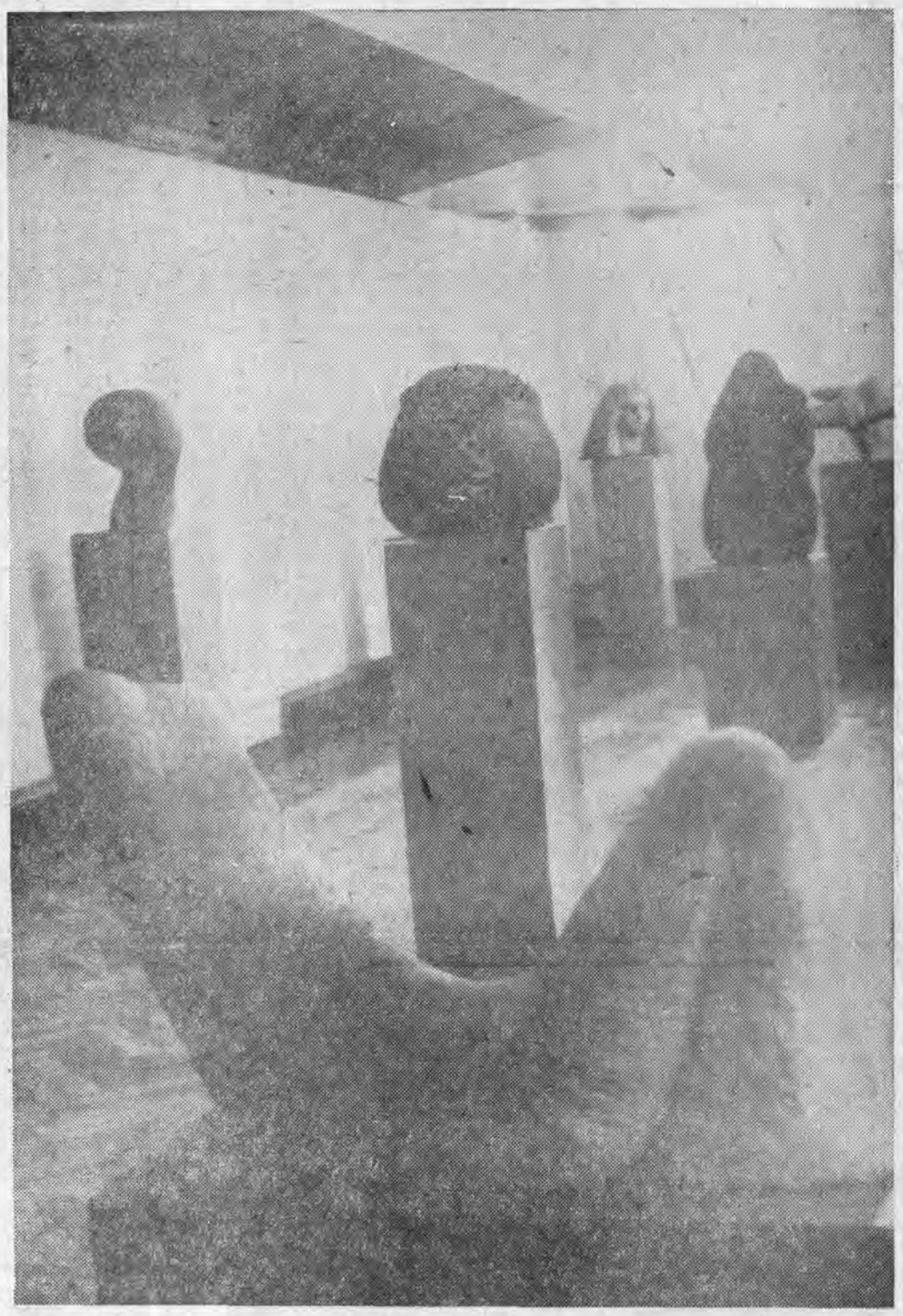

FOT: M. KOPEĆ

Na początku lutego br. otwarto w Domu Sztuki w Rzeszowie wystawę rzeźby Romana Tarkowskiego. Ekspozycja ma charakter retrospekcyjny — obejmuje prace z całego okresu twórczości artysty — stanowi niejako syntezę jego rozwoju artystycznego. Rzeźbiarz pochodzi z Rzeszowszczyzny, urodził się bowiem w Posadzie Jaćmierskiej koło Sanoka. Był uczniem mistrza rzeźby w drewnie Jana Szczepkowskiego, a później Xawerego Dunikowskiego. Od roku 1949 bierze żywy udział w życiu artystycznym. Uczestniczył od tego czasu w blisko 50 wystawach w kraju i za granicą. Ceniony i wielokrotnie nagradzany jako artysta jest również doświadczonym pedagogiem — pracuje jako wykładowca rzeźby w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie. Właśnie jako pedagog został zaproszony w 1963 roku do zorganizowania we Francji wystawy metody nauczania rzeźby.

Artysta idzie drogą poszukiwań zarówno w zakresie przełamywania oporu coraz to nowego tworzywa, jak i w zakresie środków wyrazu. Od materiału dość tradycyjnego (drzewo, gips, brąz) i dość dosłownego realizmu w formie — dochodzi do wciąż nowych tworzyw (żeliwo-beton, beton patynowany i metal), i do coraz większej swobody oraz syntetyczności w operowaniu płaszczyznami. Nigdy jednak nie wykracza poza realistyczne środki wyrazu.

Wszystkie prace Tarkowskiego należą do rzeźby figuratywnej. Widać w nich uporczywe zmaganie się rzeźbiarza z trudnym i niepodatnym materiałem — to niektórym pracom nadaje charakter nieco toporny. W innych osiąga jednak wdzięk, lekkość i rozmach („Tancerka", „Łucznik", „Łyżwiarze"). W większości eksponowanych rzeźb urzeka ich dynamika, rytm i harmonia między wyrazem artystycznym i tworzywem.

Wystawa jest dowodem rzetelności i uczciwości poszukiwań artystycznych Tarkowskiego. Brak tu efekciarstwa, epatowania szokującymi pomysłami, widać ciężki trud artysty i ciągłą ewolucję w poszukiwaniu nowych możliwości realizmu.

Roman Tarkowski, mimo iż na stałe przebywa i pracuje w Krakowie, jest silnie związany z naszym regionem. Wystawiał już swoje prace w Muzeum Historycznym w Sanoku, a obecnie żywo angażuje się w prace przygotowawcze do otwarcia stałej ekspozycji rzeźby na wolnym powietrzu w Rzeszowie. Jest również zainteresowany (zadeklarował swą pomoc) projektem wyjścia z rzeźbą na ulice i place Rzeszowa.

J. G.

Rozszerzony program UNESCO

Na przestrzeni dwudziestu lat UNESCO — Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Wychowania, Nauki i Kultury licząca już obecnie 101 członków — przeszła gruntowną ewolucję. Z instytucji służącej głównie współpracy intelektualnej stała się organizacją, która jednoczy wysiłki narodów dla rozwiązywania wielu palących problemów współczesnego świata. Na szczególną uwagę zasługuje realizacja programu współpracy technicznej obliczonej przede wszystkim na udzielanie pomocy krajom rozwijającym się.

Jak informuje ostatni numer „Biuletynu Polskiego Komitetu do Spraw UNESCO" (nr 1/1966), kraje te skorzystały z usług 3 tys. misji technicznych utworzonych przez UNESCO pod auspicjami „Rozszerzonego Programu ONZ". Ponadto 3.824 techników, uczonych, specjalistów i urzędników administracyjnych otrzymało stypendia na studia zagraniczne, które umożliwiły im zapoznanie się z najnowszymi metodami techniki. Do końca 1964 roku UNESCO udzieliła pomocy technicznej w wysokości 60 mln dolarów.

Realizację „Rozszerzonego Programu" rozpoczęto w 1950 r.; UNESCO dysponowała wówczas tylko fragmentarycznymi informacjami o potrzebach krajów będących na drodze rozwoju. Od 1960 r. inicjując międzynarodową współpracę techniczną, UNESCO zajęła się głównie zagadnieniami o ś w i a t y, n a u k i oraz i n f o r m a c j i. Pierwszy etap prac obejmował zbadanie sytuacji w szkolnictwie Afganistanu, Birmy, Libii, Syjamu i Filipin. Przeprowadzone w tym celu ankiety miały nie tylko wielkie znaczenie dla danych krajów, lecz również umożliwiły UNESCO opracowanie skoordynowanego programu pomocy technicznej i ustalenie hierarchii potrzeb.

Podejmując tę działalność UNESCO udzieliło kilkunastu krajom pomocy w rozwoju oświaty podstawowej na wsi. Organizowano m. in. ośrodki dla szkolenia nauczycieli, publikowano tanie i masowe materiały oświatowe, redagowano podręczniki w miejscowych narzeczach, szkolono także kadrę dla rolnictwa. Eksperci UNESCO sporo uwagi poświęcili walce z analfabetyzmem oraz szerzeniu oświaty wśród kobiet. Wspólnie z innymi instytucjami ONZ, opracowała także program rozwoju oświaty w Indonezji, Iraku, Libii, Paragwaju i Peru. Poważną rolę odegrały regionalne ośrodki oświaty: w Patzcuaro (Meksyk) dla krajów Ameryki Łacińskiej oraz w Sirs-el-Layyan (ZRA) dla krajów arabskich. Ośrodki te wyszkoliły już setki pracowników oświatowych. Podobne placówki powstały także w Santiago, Delhi oraz Dakarze.

Po 1960 roku pomocą tą objęto również szereg nowo powstałych państw afrykańskich, w których upowszechnienie oświaty, a głównie walka z analfabetyzmem, jest jednym z najważniejszych zadań. Warto dodać, że w międzynarodowej kampanii zwalczania anafabetyzmu uczestniczą także polscy eksperci, których pomoc jest wysoko ceniona. Świadczy o tym chociażby udział polskiej delegacji w teherańskiej konferencji ministrów oświaty poświęconej omówieniu metod likwidacji analfabetyzmu.

Zagadnienia oświaty, szkolnictwa podstawowego i planowania szkolnictwa nie były jedynymi dziedzinami, w których UNESCO współpracowała z tytułu rozszerzonego programu pomocy technicznej. Współpraca ta obejmowała również szkolnictwo średnie i wyższe, szerzenie oświaty wśród dziewcząt i kobiet, budownictwo szkół, badania nad metodami nauczania itp. Utworzono w Addis-Abebie i w Jaunde ośrodki regionalne dla wydawnictw podręczników. Ośrodki zaś w Chartumie, Meksyku i Bandungu prowadzą badania nad budownictwem szkół. Szereg krajów otrzymało także pomoc w organizowaniu kursów dokształcających nauczycieli.

Powstały również regionalne ośrodki do spraw bibliotek i muzeów oraz wydawnictw książek i dokumentacji. Pierwszoplanowe miejsce zajmuje jednak współpraca w dziedzinie nauki. Specjalne ośrodki powstały w Ameryce Łacińskiej, na Środkowym Wschodzie oraz w Azji południowej i południowo-wschodniej. Spełniły one doniosłą rolę w zakresie upowszechnienia zdobyczy nauki, wymiany doświadczeń oraz gromadzenia dokumentacji naukowej.

UNESCO przyczyniła się również do przyśpieszenia i wzbogacenia badań prowadzonych w wyższych uczelniach. W ciągu 15 lat z pomocy tej korzystały uczelnie 32 krajów. UNESCO czynnie uczestniczy także w szeroko zakrojonych pracach związanych z reformą wyższego szkolnictwa technicznego. Ponadto UNESCO współpracowała również przy zakładaniu nowych instytucji, jak np. wielkie regionalne instytuty techniczne w Indii i Wyższa Szkoła Techniczna na Środkowym Wschodzie. Misje pomocy technicznej ułatwiły również rządom realizację nowej, narodowej polityki w dziedzinie nauki (Algeria, Irak, Kenia, Liban, Madagaskar i Maroko).

Doniosłą rolę spełnia UNESCO w dziedzinie informacji. Przez blisko dziesięć lat jej wysiłki szły w kierunku wykorzystania środków informacji w celu rozwoju oświaty (radiowe audycje dla szkół, filmy oświatowe, narodowe środki audiowizualne).

W latach sześćdziesiątych działalność ta przybrała poważniejsze rozmiary. M. in. UNESCO zorganizowała trzy regionalne konferencje dla omówienia potrzeb Azji, Ameryki Łacińskiej w dziedzinie usprawnienia systemu informacji. Równocześnie z działalnością w dziedzinie audiowizualnych środków w szkolnictwie, UNESCO zaczęła bliżej współpracować z krajami interesującymi się informacją w ścisłym tego słowa znaczeniu. Pomaga ona np. w zakładaniu agencji prasowych i stacji telewizyjnych itp.

Mówiąc o wykorzystaniu środków audiowizualnych w nauczaniu warto wspomnieć o rezolucji konferencji Generalnej UNESCO „w sprawie upowszechnienia nowych metod, zastosowania środków masowego przekazu dla potrzeb oświatowych, w celu jak najszerszego udostępnienia oświaty zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych".

Realizując tę rezolucję, UNESCO podpisała z rządem polskim umowę w sprawie zorganizowania ośrodka rekonesansowego, mającego za zadanie wykorzystanie telewizji w nauczaniu na poziomie szkoły wyższej. UNESCO będzie partycypować w wyposażeniu ośrodka w sprzęt techniczny, rząd polski zaś podjął się zorganizować systematyczne badania nad organizacją i skutecznością ośrodka oraz przedłożyć UNESCO wyniki tych badań. Rząd polski zobowiązał się także udostępnić doświadczenia zainteresowanym krajom, a na żądanie krajów członkowskich UNESCO — dostarczać im szczegółowych opisów programów nauczania, metod organizacyjnych i telewizyjnych technik realizacyjnych, na których oparta będzie działalność ośrodka.

(K)

Roman Tarkowski „NASZA MŁODOŚĆ"
Fot M. KOPEĆ

LUDOMIR MAZELA

„Dla Ciebie Demokracjo"

W. WHITMAN

i spadli podpalić dom
chmurą ptaków żelaznych
nakręcili gorącą płytę niebi
i huczy odą barbarzyńską
wyzwala ciała
ogniem nieugaszonym fosforu
pękają kręgosłupy mostów
dymią oswojone węże dróg
wbrew prawom odwiecznym
pali się zielone cielsko dżungli
w źdźbłach trawy zjeżonych trwogą
kwitną róże krajów gorących
róże krwi
gdy chmurzą się dni, gdy płoną noce
niech się zbudzi i wstanie
Walt Whitman
niech ruszy krokiem jak burza
od piramidy Mac Kinley po Appalachy
a pięścią gniewną wybija rytm:
„Dla ciebie Demokracjo, dla ciebie oblubienico,
żono moja umiłowana, dla ciebie
śpiewam tę pieśń".

O bardzo ważnej dla nas rocznicy

(Ciąg dalszy ze str. 1)

nie wprost, lecz pośrednio, swoją postawą, sytuacją na wielu odcinkach nauki, a w szczególności astronomii, którą przecież Kopernik tak wspaniale odrodził. Tak czy inaczej, przede wszystkim na polską astronomię zwrócą się oczy całego świata i trzeba zrobić wszystko, abyśmy nie upodobnili się do pewnego gatunku ptaków domowych opisanych przez Kryłowa, które były niesłychanie dumne z tego, że ich przodkowie uratowali Rzym. „Da, wy czto zdiełali takoje?" — zapytuje ich w końcu autor. Idzie o to, żeby na to móc odpowiedzieć inaczej niż w bajce.

Polskiej astronomii od dawna brakuje oczu. W ciągu dwudziestu lat powojennych uzyskaliśmy tylko jedno średnich rozmiarów narzędzie na 6 czynnych w kraju placówek uniwersyteckich i akademickich. Od dawna dyskutowany projekt zainstalowania w Polsce dwumetrowego teleskopu (jaki już ma NRD a niezadługo otrzyma Czechosłowacja) jest wciąż daleki od realizacji ze względów walutowych. Zrealizowanie tego projektu przed rocznicą Kopernikowską wydaje się tym minimum, jakie naszą astronomię obserwacyjną może podnieść na poziom współczesnych badań astrofizycznych. Tego powinniśmy się domagać od naszego społeczeństwa w imię dobra nauki, jak też i ze względów prestiżowych, które też nie wyrastają z przesłanek błahych, a które w roku 1973 będą dla naszego kraju czymś bardzo istotnym, również z dobrze zrozumiałych względów politycznych.

O zmierzchu powrócił z pracy, trochę bardziej zmęczony niż zwykle, trochę bardziej zdenerwowany. Wszedł do swego pokoju, usiadł w ulubionym fotelu i zamyślił się. Z głębi mieszkania dochodził głos żony, nieco skrzekliwy, zrzędny głos starzejącej się kobiety, niezbyt zadowolonej ze świata i ze swego losu.

Po chwili usłyszał zbliżające się lekkie i szybkie kroki i w uchylonych drzwiach mignęła wysmukła postać córki.

— Anno — zawołał. — Wychodzisz?

Weszła do pokoju — pomyślał z przyjemnością, że to jego jedynaczka już dawno przestała być dzieckiem, wyrosła na piękną młodą kobietę.

— Zawsze wychodzisz z domu akurat wtedy, kiedy ja wracam. Tak jakbyś mnie unikała.

Chciał pomówić z nią w cztery oczy, ale już po chwili zjawiła się żona i nagle zrobiło mu się ciężko na sercu, uprzytomnił sobie, że to co ma córce do powiedzenia jest bardzo trudne, ale i konieczne.

— Dzisiaj była u mnie żona twojego przyjaciela.

Córka opuściła głowę, przymknęła oczy i zarumieniła się.

— Idiotka — bąknęła.

— Urządziła mi żenujące i żałosne widowisko.

— Mój Boże! — jęknęła matka. — Do czego już doszło.

— Ona nic więcej nie umie — powiedziała córka. — Stary grzyb.

— Nie powinnaś o niej tak mówić — skarcił ją ojciec. — Ta kobieta mogłaby być twoją matką.

— Taki wstyd — matka zanurzyła nos w chusteczce i zaczęła szlochać.

— Odbierasz jej męża, z którym żyła dwadzieścia lat — stwierdził rzeczowo ojciec. — Była z nim szczęśliwa.

— No, to chyba jej wystarczy. — Głos córki wzbierał odwagą. Następne dwadzieścia lat ja z nim będę żyła i ja z nim będę szczęśliwa.

— Ty nie masz wstydu — płakała matka. — Jesteś taka sama jak twój ojciec.

— Każdy ma prawo być szczęśliwy — broniła się jedynaczka. — Tylko głupcy rezygnują ze swego szczęścia.

I spojrzawszy na zegar ścienny, który akurat zaczął wydzwaniać godzinę, drgnęła i poderwała się.

—Mogę już iść?

— Dlaczego ty z nią nie pomówisz? — zapytał zmęczony starszy pan, zwracając się do swojej żony. — Przecież to twoja córka, jesteś jej matką.

— Zawsze sobie przypominasz o mnie wtedy, kiedy nie możesz wybrnąć z jakiejś kłopotliwej sytuacji.

— Czy mogę już iść? — zapytała córka.

— Ta kobieta... — próbował ją ostrzec ojciec. — Groziła, że cię zbije.

Matka rozczuliła się i objęła dziewczynę ramieniem.

—Moje biedne dziecko. — Jak mogłaś do tego doprowadzić? — a zwracając się do męża, znów była starzejącą się roztrzęsioną i złą kobietą: To ty! To ty jesteś winien! Ty dopuściłeś do tego.

— Chyba nie powiesz, że to ja posyłałem ją do niego — bronił się starszy pan.

— Nigdy nie interesowałeś się tym, co się dzieje w twoim domu, ani co robi twoja córka, jak się bawi, o czym myśli. Przecież ty jej w ogóle nie znasz.

— Przestań! — uniósł się mąż. — Przestań histeryzować!

— A mnie? — łkała kobieta, która była jego żoną. Mnie dużo czasu poświęcasz?

— Jestem zapracowany po uszy — powiedział mąż, zaciskając pięści i usiłując zapanować nad swoim wzburzeniem. — To ja miałbym prawo wysuwać pretensje. Nigdy nie mam chwili spokoju w tym domu. To piekło.

— Nie kłóćcie się — odezwała się córka.

—To nie są kłótnie — uśmiechnęła się matka. — My się nie kłócimy.

Córka patrzyła niespokojnie na zegar, chciała już mieć za sobą tę rozmowę, była umówiona, już od dziesięciu minut ktoś na nią czekał w kawiarni na rogu ulicy.

— Chciałbym, żebyś zerwała z tym człowiekiem — powiedział ojciec. — Jest dwa razy starszy od ciebie. To jest śmieszne.

— To wcale nie jest śmieszne, tatusiu. Ja go kocham.

— Śmieszne i tragiczne.

— Ta kobieta cię przeklnie — powiedziała matka.

— Nie jestem przesądna — roześmiała się jedynaczka i potrząsnęła dziecinnie swoją wspaniałą jasną czupryną.

— Jest piękna — pomyślał z uznaniem ojciec. Piękne głupie dziecko.

— Nie boję się przekleństw.

Dziewczyna zdjęła z rąk rękawiczki i usiadła. Milczeli teraz wszyscy. Rodzice przygotowywali sobie argumenty do ataku. Córka była blada, gotowa bronić swojej wielkiej miłości.

— Tamta kobieta ma do niego prawo. Poślubiła go. Wychowała mu dzieci. Jego córka jest podobno twoją rówieśnicą, czy koleżanką.

— Co to znaczy mieć prawo do człowieka? — zapytała córka.

— Czy to jest tak, jak by się miało prawo do martwej rzeczy, albo do zwierzęcia? Prawo ślubnej małżonki. Prawo cmentarza, na którym oni oboje pogrzebali dwadzieścia lat życia i dwadzieścia lat męki. Sami o wszystkim mówił. Jakie oni mogą mieć do siebie prawo, skoro oboje nienawidzą się. Oboje czekają od lat na jakiś kataklizm. Na trzęsienie ziemi, albo na śmierć.

— To ty ich rozdzieliłaś — głos matki był teraz pełen ubolewania, pełen litości dla tamtej skrzywdzonej kobiety. — Weszłaś między nich jak burza. Zniszczyłaś ich.

Córka drżała jak w gorączce. Czuła się osaczona i zdemaskowana przez wszystkich, wszyscy byli przeciwko niej.

—To nie ja spowodowałam ich nienawiść — próbowała się bronić.

— Ja po prostu zjawiłam się pewnego dnia, kiedy ich małżeństwo było już tylko fikcją. Wtedy on zauważył mnie. Kocham go. Pobierzemy się, jak tylko uzyska rozwód.

— Nigdy nie zgodzę się na to małżeństwo.

— Bardzo mi przykro, tatusiu — była już blisko płaczu, najokrutniej bowiem ranił ją srogi ton ojca. — Jestem już pełnoletnia. Nie chcę żyć bez niego.

ŚLADAMI TYSIĄCLECIA

ANTONI KUNYSZ

Na Rzeszowszczyźnie odnaleziono brakujące stulecia

Okres uroczystych obchodów 1000-lecia istnienia naszej państwowości wpłynął korzystnie na rozwój badań regionalnych mających na celu poznanie naszej przeszłości. Dzisiejsza Rzeszowszczyzna stanowi obszar różnych jednostek administracyjnych zwanych w średniowieczu ziemiami. W skład województwa wchodzi część dawnej ziemi: sandomierskiej, przemyskiej, sanockiej czy bieckiej.

Ziemie te przed uformowaniem się naszej państwowości i w okresie jej tworzenia odgrywać musiały znaczną rolę. Znikome zachowane przekazy źródłowe z XI—XIII wieku świadczą o wielu wydarzeniach politycznych, jakie głównie rozgrywały się w dolinie Sanu. Szereg przekazów arabskich i hebrajskich, ruskich i węgierskich czy polskich wskazywało, że Przemyśl spełniał dla tych ziem centrum osadnicze, od roku 1087 zaś stolicę samodzielnego księstwa.

Wyjaśnienie wielu spornych wydarzeń z pogranicza polsko-rusko-węgierskiego wzbudzało zainteresowanie historiografii polskiej od dawien dawna. Wielu wybitnych uczonych polskich, ruskich, czeskich czy węgierskich, w swoich pracach dużo miejsca poświęcało obszarom nadsańskim. Sugerowali oni podjęcie badań archeologicznych, które mogłyby dostarczyć materiału do interpretacji lakonicznych przekazów pisanych.

W okresie międzywojennym obszary te pod względem badań archeologicznych stanowiły przysłowiową „białą plamę". Naukowcy ze Lwowa czy Krakowa rzadko zaglądali w te strony. Dopiero po II wojnie światowej od roku 1953 wzmaga się zainteresowanie terenami Rzeszowszczyzny. Podejmują tutaj badania archeolodzy z Krakowa pod kierunkiem dr A. Żakiego w ramach tzw. Karpackiej Ekspedycji Archeologicznej. Od roku 1957 ilość badań znacznie wzrosła, dzięki powołaniu przy Muzeum Okręgowym w Rzeszowie Rzeszowskiego Ośrodka Archeologicznego, pracującego pod kierunkiem naukowym prof. dr Rudolfa Jamki z UJ w Krakowie. Odpowiednie środki uzyskiwane rok rocznie z budżetu terenowego przez kilku zapalonych archeologów pozwoliły rozwinąć szerokie badania archeologiczne na różnych stanowiskach z różnych epok i okresów pradziejów.

Poważny wysiłek badawczy skoncentrowano nad okresem wczesnośredniowiecznym, stawiając sobie za zadanie poznanie charakteru osadnictwa, jego chronologii oraz kultury mieszkańców tych ziem. W wyniku kilkuletnich badań archeologów z Krakowa, Krosna, Przemyśla i Rzeszowa oraz innych ośrodków naukowych objęto badaniami kilkadziesiąt miejscowości. Wśród badanych stanowisk znalazły się: grody, osady otwarte — wsie, cmentarzyska kurhanowe oraz szkieletowe.

Podjęte szerokie badania powierzchniowe i zwiadowcze oraz prace inwentaryzacyjne pozwoliły do tej pory stwierdzić na Rzeszowszczyźnie 313 stanowisk z wczesnego średniowiecza, w tym 102 grody, 124 osady wiejskie, 7 cmentarzysk kurhanowych, 8 cmentarzysk szkieletowych oraz około 80 znalezisk luźnych, które mogą świadczyć o istnieniu osad lub cmentarzysk. Odkrycie tak dużej liczby stanowisk było możliwe dzięki szeroko prowadzonym pracom ziemnym na wielkich budowach (siarka, rurociągi gazowe, budowa nowych zakładów produkcyjnych, osiedli mieszkaniowych itp.) oraz operatywności konserwatorskiej i muzealnej służby archeologicznej na terenie woj. rzeszowskiego.

W świetle badań archeologicznych dość wyraźnie zarysowały się dzieje tych ziem od połowy I tysiąclecia n. e. do końca XIII wieku. Jak wynika z badań dość wcześnie, bo w VII—IX wieku na tym terenie doszło do wzniesienia olbrzymich grodów w Trepczy, pow. Sanok, Trzcinicy, pow. Jasło, Brzezowej, pow. Jasło, Braciejowej, pow Dębica itp. Warownie te, jak wykazują analogie, mają wiele odpowiedników na terenie Państwa Wiślan, które w okresie największego rozkwitu mogło podbić obszary aż po San na wschodzie. Obok grodów istnieją w tym okresie znaczne osady w Nisku, Manasterzu i Muninie, pow. Jarosław, Husowie, pow. Łańcut, Rzeszowie — Staromieściu, Machowie, pow. Tarnobrzeg i wielu innych miejscowościach. Znaczną osadą w tym czasie musiał być Przemyśl, z rejonu tego posiadamy wiele importów bizantyjskich i arabskich sprzed X wieku. Ludność tych osad obok rolnictwa i hodowli zajmuje się hutnictwem eksploatując do tego celu bogate zasoby rudy darniowej w widłach Wisły i Sanu. Piece hutnicze odkryliśmy w Nisku i Manasterzu.

Importy obce, jak: huńskie wędzidło z Mymonia, pow. Sanok, monety arabskie z Przemyśla i Gorlic czy bizantyjskie z Przemyśla, Biecza sugerują, że ziemie te utrzymują przed X wiekiem ożywione kontakty z odległymi krajami.

Ludność w owym czasie grzebie zmarłych w kurhanach, paląc ich wcześniej na stosie. Duże nekropole liczące po kilkaset kurhanów odkryto w Trepczy, pow. Sanok oraz w Świerchowej, pow. Jasło. Podjęte badania nad tymi cmentarzyskami być może wyjaśnią nam, jaki to lud zamieszkiwał te ziemie.

Wielką zagadkę w rejonie przemyskim stanowią wielkie kopce — być może mogiły, analogiczne do kopca Krakusa w Krakowie. Obiekty tego typu znamy w Przemyślu, Krasiczynie, Sółcy, Sielcu i kilku innych miejscowościach. Kopce te do tej pory nie badane kryją wiele zagadek.

Koniec X wieku, to okres formowania się naszej państwowości. Dzielny Mieszko, książę Polan, doprowadza do zjednoczenia dużych obszarów pod swoją władzą. Wielu badaczy przyjmuje, że do roku 981 tereny nad Sanem wchodzą w skład Państwa Mieszki. Na okres ten przypada znaczny rozwój osadnictwa, głównie wokół ważniejszych grodów, jak: Przemyśl, Sanok, Jarosław, Biecz itp. Powstaje w tym czasie dużo małych grodów — siedzib feudałów. Rozwój ludności doprowadza do wzrostu ilości osad wiejskich. Dochodzi do wyodrębnienia się pierwszych osad o charakterze targowym. Przykładem może być tutaj Przemyśl, gdzie w połowie XI wieku źródła hebrajskie notują istnienie kolonii kupców żydowskich, zajmujących się obsługiwaniem handlu dalekosiężnego.

Wiek XI doprowadza do znacznego rozwoju gospodarczego terenów nad Sanem. Przebieg doliną tej rzeki szlaku handlowego wpływał aktywizująco na rozwój osadnictwa. Bogactwo naturalne, jakim była sól w solankach w rejonie przemysko-sanockim, sprawia, że rozwija się tutaj silnie solewarstwo. Z roku 1100 posiadamy wzmiankę o zakazie wywozu soli do Kijowa z okolic Przemyśla i Halicza. Bogactwa czerpane z handlu solą doprowadzają do silnej rozbudowy grodów na tym terenie. Warto przypomnieć, że w górnym i środkowym biegu Sanu notujemy około 40 grodów oraz około 50 osad otwartych poświadczonych danymi archeologicznymi i źródłowymi. Przekazy źródłowe z XII wieku mówią nam o wielu wsiach istniejących pod Sanokiem i Przemyślem, które w roku 1152 zajął król węgierski Gejza. Obok Przemyśla duże znaczenie osiąga Sanok, gdzie w połowie XII wieku ma swoją siedzibę — „posadnik" — urzędnik sprawujący na Rusi władzę nad pewnym obszarem.

Prace wykopaliskowe prowadzone od szeregu lat na terenie Przemyśla pozwoliły stwierdzić, że w XI—XII wieku znajdowało się tutaj znaczne skupienie osadnicze. Obok centralnego grodu książęcego znajdują się mniejsze gródki bojarów, poza tym w rejonie Kazanowa, Zasania, Władycza istniały osady przyzagrodowe. W początkach XI wieku wzniesiono na terenie grodu okazałe budowle: okrągłą kaplicę grodową zwaną rotundą oraz pałac książęcy. U podnóża grodu znajdowało się podgrodzie, od XII wieku posiadające własny kościół, rotundę św. Mikołaja. Na Zasaniu funkcjonuje w tym czasie osiedle produkcyjne: garncarsko-hutnicze. Rzemieślnicy tam mieszkający wytwarzali naczynia gliniane (od XI wieku z polewą) oraz posadzkowe płytki ceramiczne.

Przekazy pisane z XIII wieku mówią nam o istnieniu trzech dalszych świątyń: kościoła parafialnego pod wezwaniem św. Piotra oraz dwóch klasztornych, Dominikanów i Franciszkanów. Świątynie łacińskie dowodzą o istnieniu tutaj dużego skupienia ludności polskiej. W XIII w. na terenie grodu istnieje okazała cerkiew katedralna, po której do naszych czasów zachowała się piękna posadzka mozaikowa. Przemyśl w wieku XIII można określić jako znaczny ośrodek miejski.

Postęp w zakresie kultury materialnej jest bardzo wysoki. Odkrywane domostwa o konstrukcji zrębowej posiadają często podłogi, wykonane z bierwion. Wytwórczość ówczesnych „rzemieślników": garncarzy, kowali, stolarzy, cieśli, zajmujących się obróbką rogu, kości, skóry i innych surowców stoi na wysokim poziomie. Mieszkańcy grodów umieją pisać, jak świadczy o tym rylec żelazny do pisania na tabliczkach woskowych znaleziony w Przemyślu.

Rozwój handlu dalekosiężnego i lokalnego doprowadza do tego, że ludność zaopatruje się w drogocenne przedmioty z odległych krajów: z Rusi Kijowskiej, Bizancjum, krajów arabskich i zachodnich.

Obszary województwa rzeszowskiego należą do niezmiernie interesujących. Archeolog prowadzący badania spotyka się z wielu materiałami i zjawiskami kulturowymi, które gdzie indziej nie są notowane. Tutaj dość wcześnie dochodzi do styku dwu prądów kulturowych. Jednego ze wschodu za pośrednictwem Rusi Kijowskiej z Bizancjum, nie tylko w obrządku religijnym, lecz i kulturze materialnej, sztuce, budownictwie. Drugi prąd idący z zachodu — romański, przynoszony wraz z upowszechnieniem się religii chrześcijańskiej. Pod wpływem tych prądów oraz miejscowych elementów dochodzi do wytworzenia się swoistej kultury, dość wysoko rozwiniętej, nie ustępującej takim ośrodkom jak Kraków, Gniezno itp.

Ziemia rzeszowska kryje jeszcze wiele tajemnic sprzed tysiąca lat. Łopata archeologa pozwoliła rozjaśnić wiele wydarzeń związanych z tymi ziemiami w wiekach od VII—XI. Miejmy nadzieję, że dalsze badania wyjaśnią niejeden ważny epizod związany z historią tych ziem.

Biecz, pow. Gorlice. Robotnicy odsłaniają bruk na dziedzińcu ogrodu.

Fot. A. KUNYSZ

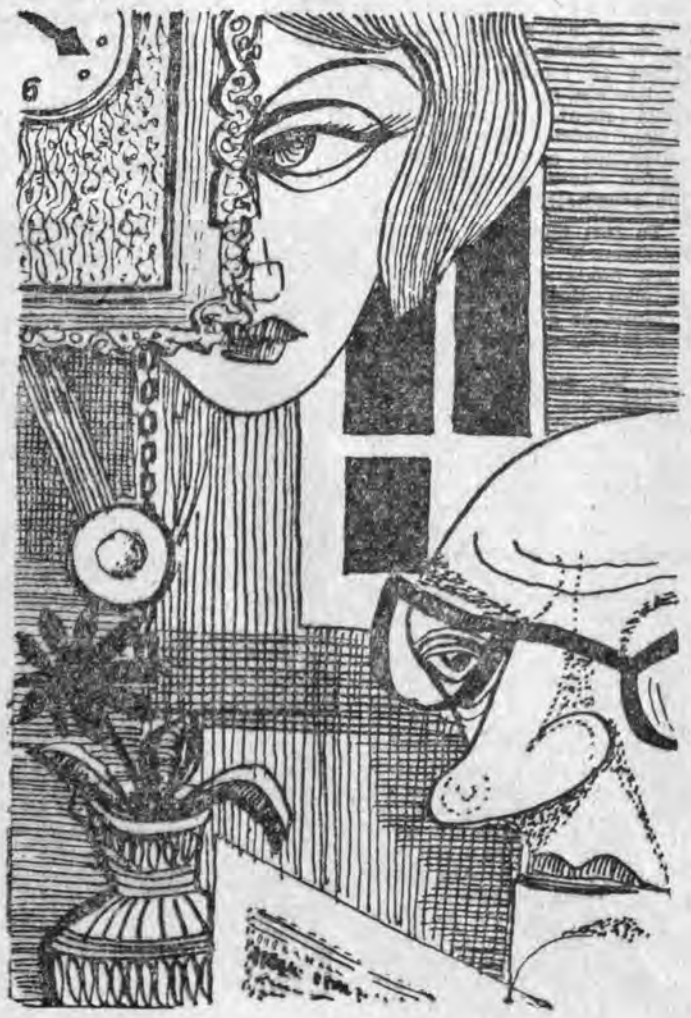

RYS. J. SIENKIEWICZ

— W tych sprawach człowiek nigdy nie jest dość pełnoletni — powiedziała matka i pomyślała o swoich zawiedzionych nadziejach i o swoim własnym małżeństwie.

— Chyba nie poślubisz go wbrew naszej woli.

Chcesz pozbawić kogoś męża i ojca. Czy zgodziłabyś się, żeby twój ojciec odszedł ode mnie dla jakiejś innej kobiety?

— Nie dziwiłabym się — parsknęła śmiechem dziewczyna, zapominając, że dopiero przed chwilą była bliska rozpaczy. — Nie dziwiłabym się, gdyby to zrobił. Mogłabym to zrozumieć.

— Przestańcie — przerwał ojciec. — Nigdzie nie odchodzę.

— To wszystko jest ohydne, ohydne, ohydne! — znów rozpłakała się dziewczyna.

— Kochanie — powiedziała czule matka. — To wcale tak nie jest. W gruncie rzeczy twój ojciec na swój sposób bardzo jest do mnie przywiązany.

— Na swój sposób — powtórzyła z ironią dziewczyna. — I na swój sposób wysłuchuje codziennie twoich litanii, twego płaczu, twego ustawicznego narzekania na zmarnowane życie, na utraconą młodość. Lipińska ma samochód, a ty nie masz, Kocikowa pojechała do Budapesztu, a ty nie pojechałaś, Picikiewiczowa ma nowe futro, a ty nie masz. A ojciec słucha tego wszystkiego, dzień po dniu, rok po roku i — na swój sposób jest do ciebie bardzo przywiązany, na swój sposób bardzo cię kocha, na swój sposób upija się raz w miesiącu w swoim gabinecie przy zamkniętych drzwiach i na swój sposób kupuje czekoladki dla przystojnej wdowy po naszym dozorcy. Och, wy...

— Milcz! — szepnęła matka. — Nie chcę tego słuchać.

— Jesteś taka sama jak ta moja stara rywalka — rozpłakała się dziewczyna. — To pudło, które grozi, że mnie zbije. — Niech spróbuje... Ja jej pokażę.

— Nie masz prawa do jej męża!

— Mam prawo — broniła się młodość przed rozsądkiem starych — Mam, mam, mam! Kocham go! Chcę być szczęśliwa.

— Nie można być szczęśliwym cudzym kosztem — oznajmił solidny starszy pan. — Co to za szczęście, jeżeli ktoś musi z twego powodu cierpieć.

— A czy to ja wymyśliłam — buntowała się młodość. — Czy to moja wina, że zawsze ktoś musi cierpieć?

— Musisz z nim zerwać. Nie masz innego wyjścia.

Dziewczyna była sama wobec wszystkich potęg świata.

— Jesteście fałszywi! — krzyczała. — Fałszywi i zakłamani. Nienawidzę Was za to, słyszycie? Nienawidzę. Tkwicie w tej waszej mętnej wodzie, wciąż tylko mówicie o świętości życia rodzinnego, a nienawidzicie się wzajemnie, w nocy nie mogę spać, bo wciąż mam w uszach te wasze sprzeczki o wszystko i o nic, o każdą drobnostkę sprzeczacie się, nienawidzicie się i nienawidzicie tych, którzy próbują uwolnić się od kłamstwa.

— Jak ty do nas mówisz? załamała ręce starsza pani.

Ojciec zapalił papierosa i patrzył smutno w zmrok szarzejący za oknem.

— Może masz trochę racji — powiedział. — Ale rozpocząć życie od nowa, to tak jak urodzić się jeszcze raz. W każdym razie w moim przypadku, już jest za późno. Po dwudziestu latach.

— Po dwudziestu czterech — poprawiła żona ze zjadliwą ironią. — W styczniu minęło dwadzieścia cztery.

— Wy po prostu boicie się — głos dziewczyny brzmiał teraz twardo, teraz ona była ich sędzią. — Zawsze baliście się konwenansów, skandalu, żeby ktoś o was źle nie pomyślał, żeby o was źle nie mówiono. Strach trzyma was razem.

— Mylisz się — powiedział starszy pan. — Twoją mamę i mnie trzyma razem poczucie obowiązku. Zaciągnęliśmy wobec siebie wzajemne zobowiązania. Musimy się z nich wywiązać. Przynajmniej tak jak to umiemy. Mamy także wspólne obowiązki wobec ciebie. Chcemy, żebyś była szczęśliwa, choć nie jesteśmy w stanie gwarantować, czynią będziesz. Mamy inne zobowiązania, które pewnego dnia mogą się wyłonić. Gdy jedno z nas zachoruje, drugie będzie mu pomocne. To właśnie jest rodzina. A zburzyć rodzinę, znaczy podeptać te wszystkie obowiązki, wyrzec się ich. Małżeństwo to rzecz trudna. Niedoskonała. Ale gdyby wszyscy zaczęli je burzyć, wówczas świat byłby pełen płaczu i zgrzytania zębów. Miliony dzieci byłyby bez opieki.

Nie obchodzi mnie los milionów dzieci — odparowała dziewczyna. — Mój własny los mnie obchodzi. Kocham Leona.

— To nie jest człowiek dla ciebie — ostrzegało ją matczyne sumienie. — Pomyśl. Kiedy on będzie już niedołężnym starcem, ty będziesz dopiero kobietą w średnim wieku. To jest sprzeczne z prawami natury.

ROZMOWY O SZTUCE

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

NIE PRZECENIAJMY ŚWIADOMOŚCI

K: — Zanim spotkaliśmy się dzisiaj, powiedział Pan kiedyś, że mnie interesuje sztuka żywa, Pana zaś sztuka w pewnym sensie zmumifikowana. Nie jest to prawdą, bo mnie interesuje każda sztuka, Pana mam wrażenie, także, — najlepszym dowodem temat, który obrałam dla naszej rozmowy — sztuka ludowa. Nie z przypadku właśnie z Panem chcę o niej mówić; jako przyjaciel sztuki zagrożonej czasem, wojewódzki konserwator zabytków, tym samym socjalistyczny jej mecenas (nazwijmy to sobie tak) chyba właśnie Pan ma szczególne predyspozycje do podjęcia tematu, w którym na ogół nie błyszczą znakomite nazwiska, ba, właściwie trudno by znaleźć twórcę ludowego, który by umiał zinterpretować swoją twórczość. Są pozbawieni wiedzy, umiejętności estetyzowania, swoje zajęcie sztuką wywodzą bądź z konkretnego zamówienia środowiska, bądź z wewnętrznego nakazu. Tworzą sztukę ulotną, której nieliczne tylko fragmenty udało się ocalić; sztukę, którą docenił rzeczywiście dopiero wiek XX. Dodajmy jeszcze, że budzi ona wiele nieporozumień i dalej jest niedoceniana, albo, co chyba także nie jest dobre, przeceniana; poza tym współczesność nie rokuje dla niej dobrej przyszłości.

J: — Dla twórcy ludowego istotne są dziś problemy zatrącające o pewien wzorzec estetyczny. Dla szerokiego kręgu mieszkańców wsi obowiązujący dziś jest oczywiście wzorzec miejski. Duży nacisk wywierany przez mieszczańską estetykę, która zdążyła się wytworzyć może nie w zakresie teorii, ale właśnie wzorców, standaryzacja...

K: — Poprawa warunków materialnych wsi, uroki cywilizacji...

J: — ...nie mogą wpływać pozytywnie na twórczość ludową. Właściwie dla mnie istnieją jakieś dwie zasadnicze grupy twórców ludowych: pierwsza, która zajmuje się produkcją typu przemysłowego (kowale, bednarze, garncarze itp.), produkująca wyłącznie na sprzedaż i druga — antystyczna, a więc malarstwo ludowe, rzeźba, ceramika. Pierwsza pracuje na konkretne zamówienie otoczenia i obce jest jej wszelkie zmanierowanie, druga na pewno skłonniejsza jest podlegać obowiązującym modom, dlatego otoczenie łatwiej ją manieruje. Zresztą w ogóle twórca do pewnego czasu odpowiada na konkretne zamówienie, a później dopiero przychodzi chęć pracy dla siebie. Zamówienie w tej chwili zanika — stąd i zanikanie twórców.

K: — Prof. Reinfuss powiada, że odrębność tej sztuki wytwarza się w atmosferze pewnej izolacji od sztuki warstw elitarnych, skutkiem czego „ludowość" mierzyć można głębokością różnic, jakie w zakresie tematyki i formy dzielą dzieło artysty z ludu od współczesnej mu twórczości artystów wykształconych. Idąc za biegiem jego definicji i przyjmując Pańskie zdanie o zaniku zamówień otoczenia, o rozmijaniu się wzorców estetycznych twórczości ludowej z potrzebami własnego środowiska, mam pełne prawo wysnuć przekonanie, że za lat kilkadziesiąt sztuka ludowa przestanie istnieć w ogóle w jej dzisiejszym znaczeniu.

J: — Naturalnie.

K: — Mimo że Pan się zgadza, jeszcze powiem, iż najistotniejszą dla niej jest obcość wobec uznanych rygorów wiedzy; w ogóle zabójcza dla niej jest sama wiedza, wzrost kulturalnej świadomości mieszkańców wsi. Człowiek nawet o wykształceniu podstawowym nie może być autentycznym twórcą ludowym.

J: — Twórczość ludowa musi eliminować pojęcie szkoły, nauki rysunku — tym samym przyznaję rację.

K: — A więc bliski koniec sztuki ludowej?

J: — Szeroka politechnizacja, co oczywiście mówię jako dowcip raczej, wykształci niewątpliwie dobrych techników; miejmy cichą nadzieję, że niedostatki wiedzy humanistycznej ocalą nam z tej rzeszy garstkę autentycznych twórców! Ale już poważnie — jedyne remedium na przyszłość widzę w ograniczeniu się do rozwoju talentów, które istnieją, w wytworzeniu wokół nich środowiska mądrego, które odwróci się od skłonności ku niedobrym wzorcom i zrozumie wartość rzeczy naprawdę ładnych.

K: — Zamierzenie tak piękne, że aż nierealne. Nie wierzę, by można było w przeciągu kilku czy kilkunastu lat przełamać skłonność środowiska do miejskiej tandety; nawrócić je na wiarę w rzeczy tradycyjne, które są sztuką.

J: — Powtarzam, że to niestety jedyny sposób na rozwój twórców ludowych. Wszystkie inne zawodzą. Denerwujące są przecież sugestie muzeów, które polegają na podsuwaniu twórcy starych wzorów, na nakłanianiu go do rzeźbienia np. świątków.

K: — To na pewno zabija oryginalność i jest tylko przedłużeniem wegetacji. Na pewno przy tym nie jest twórcze.

J: — I to w tym stopniu, jak powielanie wzorów figurek gipsowych.

K: — Myślę, że CPLiA i DESA nie są poważnie zainteresowane twórczością ludową w zdrowym sensie?

J: — U nas w ogóle nie ma zbytu na oryginalną twórczość ludową. CPLiA zupełnie nie jest zainteresowana w sprzedaży przedmiotów oryginalnych. Interesuje ją tylko produkcja masowa: jeśli uda się świątek wpadnie w jej ręce, zamawia od razu 20 sztuk identycznych.

K: — Sztuka przechodzi w rzemiosło, a to już jest smutne. Wracając jednak do samej twórczości, ogólny wyższy poziom kulturalny nie na tyle jednak wysoki, by propagować rzeczywiście artyzm, na tyle jednak, by smakować w cywilizacji kosztem autentycznej urody przedmiotów — z jednej strony, drugiej wyobcowanie się „artystów", bo to już nie chłopi, ale artyści, którzy do tego zarabiają sztuką — czy w efekcie nie sprowadza także sztuki do rzemiosła? Przecież dziś istnieje moda, która ukształtowała manieryzm na stare świątki i sam twórca świadomy korzyści materialnej nawiązuje do starych wzorów, automatycznie przestając być oryginalnym.

J: — To jest zjawisko jedynie wśród inteligencji. Moda na sztukę ludową jest modą elity: obejmuje tak niewielką ilość jednostek w gruncie rzeczy, że z ich strony manieryzm najmniej zagraża świątkarzom.

K: — To jest zjawisko dla mnie dość paradoksalne, że prostota tej sztuki do dziś jest nierozumiana i to nawet wśród ludzi inteligentnych, którzy zaakceptowali już malarstwo nowoczesne, a tu patrzą ze zgrozą na łamanie uświęconych rygorów estetycznych: perspektywy w malarstwie, kompozycji w rzeźbie.

J: — W większości wypadków to nie rozumienie wartości artystycznych dzieła twórcy ludowego, przy akceptacji sztuki oficjalnej — to poza. Oczywiście że jest ona bardziej zrozumiała, prostsza, czytelna. Na czym polega niechęć do niej? — Myślę, że razi przede wszystkim jej prymitywizm. I tu widzę znowu nacisk wzorca. Dla otoczenia twórcy niezrozumiałość leży być może w stylizacji, odkształcaniu wzorów, w odwrocie od naturalizmu, którego wpływy tak bardzo przecież szkodzą sztuce ludowej.

K: — A więc podwójne rozmijanie się twórcy ludowego z odbiorcą: tym z własnego otoczenia i tym, którego razi chropowatość jego twórczości, właśnie to co w niej najbardziej autentyczne.

J: — Warto byłoby tutaj powiedzieć, że często zbyt przeceniamy rolę świadomości i wiedzy w odbiorze sztuki. Wielokrotnie odczuwałem chęć odrzucenia pewnych dzieł plastyki, dopiero częste przebywanie z nimi pozwoliło mi odkryć ich sens, a tym samym zaakceptować je.

K: — A więc intuicja, kontemplacja, spontaniczność w odbieraniu skojarzeń! Myślę, że Pan ma rację, nader często coś nam się podoba i nie umiemy prosto powiedzieć dlaczego nam się podoba, względnie — wiedza przeszkadza nam mówić o rzeczach w sposób prosty. Mamy przed sobą świątka — wierzę, że człowiek niewykształcony zupełnie jasno wytłumaczyłby, co go razi w nim, co jest dla niego nie do przyjęcia, a raczej niedobre. Gdybym Pana zapytała — dlaczego on jest dla Pana piękny, iż usłyszę?

J: — Że najtrudniej właśnie o takie arcyproste sformułowanie! Przyznam się szczerze, że nigdy nie zastanawiałem się nad tym, co mi się podoba w dziele sztuki. Nigdy nawet sobie nie próbowałem odpowiedzieć na tak postawione pytanie.

K: — Widzi Pan, ja jednak wierzę, że musi istnieć jakaś metoda, którą podsunie się odbiorcy, w jaki sposób ma patrzeć na dzieło sztuki. Przecież najprostsze parametre można tu wywieźć z nauką: nie ma teorii bez metody. Nie ma rozumienia.

J: — Dyskusja estetyczna wyzwoliłaby tu cały szereg sformułowań, ale nam nie o to idzie. Powiem tylko, że w tym świątku przedstawienie treści sakralnych w sposób tak bardzo świecki będzie urzekało inteligenta, dla którego ideał religijny jest pojęciem pustym, historycznym — ludzi wiejskich, wierzących, to ściągnięcie ideału na ziemię będzie raziło. Będzie im odstręczało.

Dla mnie cudowna jest poza tym ta naiwność, połączenie elementów zmartwionego człowieka, spracowanego z pozą królewską, z tronowaniem, z hieratycznym ustawieniem postaci.

K: — Pasjonuje więc Pana sprawa kontrastów, które zawsze wzmagają ekspresywność dzieła. Myślę, że nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, iż właśnie ekspresjoniści pierwsi tak zdecydowanie nawiązali w swej twórczości do sztuki ludowej.

J: — A surrealiści? Proszę Pani, czyż nie surrealistyczne właśnie są oczy tego świątka?

K: — Zgoda na wszystko. Ale nie może nas dziwić, że ludzie podchodzą do dzieła sztuki najpierw pod kątem zapytania „co to znaczy", a dopiero później, jak odpowie im się na to pytanie, próbują znaleźć jego sens. Nie przeceniajmy wiedzy w percepcji sztuki — zgadzam się z tym, ale nie wolno nam nie dostrzec zgubnych skutków braku **wiedzy elementarnej**, które tak bardzo utrudniają szukanie wszelkich sensów. To, co najistotniejsze dla mnie w sztuce ludowej, to połączenie kultu z codziennością, właśnie sprowadzenie ideału religijnego do ziemskiego wymiaru. Te szeregi realistycznie spracowanych świętych, zmęczone niemal dotykalnie fizyczną pracą, nie kontemplujące, ale strudzone, którym twórca nadał twarze otoczenia, których malował czy rzeźbił jako opiekunów nieszczęść i kataklizmów życiowych, a więc z kultem religijnym łączył utylitaryzm, czyniąc tę sztukę zupełnie niepowtarzalną. Jest to przecież bardzo swoista religijność — niejako transformująca religię do wymogów umysłowości wiejskiej, swoiste naginanie katolicyzmu do własnych wyobrażeń.

J: — Poza tym charakteryzuje tę sztukę silny związek z otoczeniem. Wyrwanie świątka z kapliczki czy naturalnego krajobrazu odziera go z pewnych wartości estetycznych. Klimat i otoczenie bowiem stanowią o połowie co najmniej jego uroku.

K: — Z tym trudno mi się zgodzić, bo jeżeli uznamy przedmiot za dzieło sztuki, istnieje on sam dla siebie, jako trwała wartość i winien nią być w każdym otoczeniu.

J: — W sztuce ludowej jednak jest nieco inaczej. Najsilniej można tego dowieść na przykładach architektury ludowej, która jest niesłychanie związana z krajobrazem i dziś marnieje pozbawiona jego naturalnych, pierwotnych walorów.

K: — Problem architektury ludowej wymagałby na pewno szerszego omówienia; wierzę, że nie doceniamy dziś wartości estetycznych powiązania budownictwa z krajobrazem, nie mamy w tym zakresie żadnego wzorca, a przecież sławny Le Corbusier powiedział, że woda, powietrze i drzewa oferują dopiero harmonię architektoniczną. Niestety, czas i miejsce nas ogranicza; niewykluczone, że kiedyś jednak i do tego zagadnienia powrócimy.

Rozmawiali:
JERZY TUR
I KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

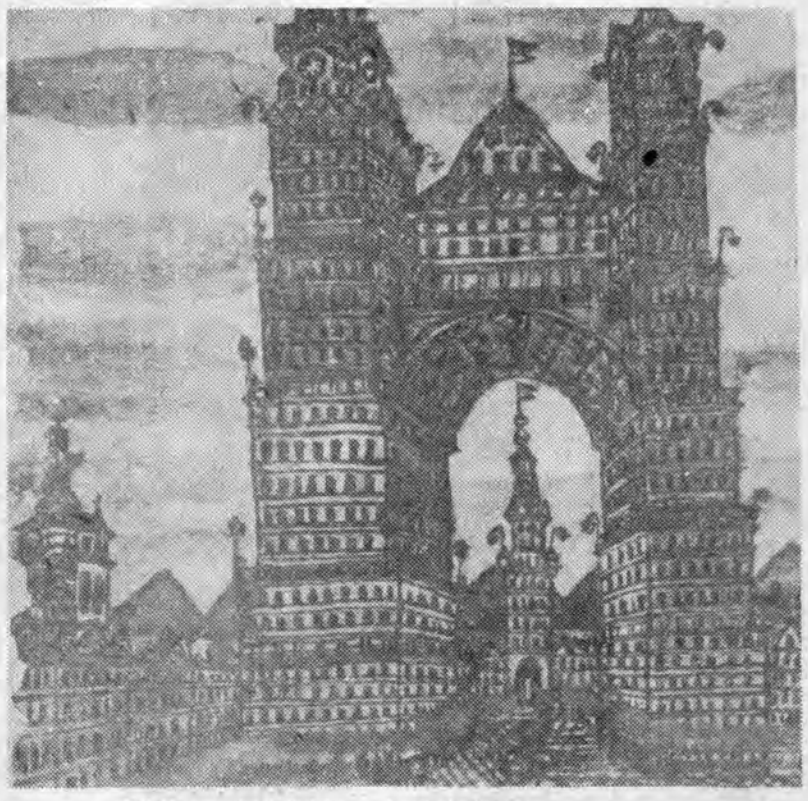

Nikifor. Architektura fantastyczna

— Będę mu wtedy bardzo potrzebna.

— Jesteś głupiutka, dziecinna.

— Możliwe — zgodziła się córka. — Ale ja wierzę, że w życiu człowieka liczy się tylko miłość.

— Jest jeszcze jedna rzecz, która się liczy — powiedział ojciec i pomyślał już nie o losach córki, ale o swoich własnych doświadczeniach, o swoim własnym życiu.

— Jaka rzecz? — zapytała dziewczyna.

— Twórczość. Praca. To co robimy. I to w czym uczestniczymy.

— Tak — zgodziła się córka. — Ty masz swoją pracę. Projekty. Makiety, plany, domy, które budujesz. Jesteś inżynierem, architektem, profesorem. Masz swoich studentów, którysz uczysz. Tylko mnie nie zdołałeś niczego nauczyć. Niczego nie umiem. Potrafię czytać kryminalne powieści. I trochę brzdąkać na fortepianie.

— Mogłaś studiować — ożywił się starszy pan. — Mogłaś pracować. Ale nie chciałaś. A szkoda. Praca stwarza sens naszemu życiu. Miłość czasami zawodzi. Wtedy pozostaje tylko to, co robimy. Obowiązek. Radość tworzenia czegos.

— Mama niczego lepszego dla mnie nie chciała. Zawsze mówiła tylko o dobrej partii.

— Ja? — ocknęła się matka. — To on ciebie tak rozpieścił.

— Jeszcze nie jest za późno — pocieszył ją ojciec. — Możesz jeszcze studiować.

— Muszę już iść — zerwała się dziewczyna. — On na mnie czeka.

— O której wrócisz? — zapytała matka.

— Nie wiem. Do widzenia.

Przez chwilę słyszeli jeszcze jej oddalające się kroki. Potem ogarnęło ich złowrogie milczenie.

— Ładnie będziemy wyglądać, jak ją ta kobieta zbije na ulicy — powiedziała żona.

— To byłoby przykre — mruknął mężczyzna, który był jej mężem.

— Tacy wy jesteście. Mężczyźni. Pewnego dnia dowiem się, że ty też masz kochankę. Jestem już za stara dla ciebie. Za brzydka. Za głupia. Spracowana. Zawsze byłam dla ciebie tylko służącą.

Milczał, ale i jego milczenie ją drażniło.

— Może nie mam racji?

— Ależ oczywiście — przyznał. — Masz rację. I tamta kobieta też ma rację. I mąż tamtej kobiety ma rację. I moja córka też ma rację. Wszyscy mają rację. Cały świat jest pełen oczywistych racji.

— Kpisz sobie z wszystkiego!

— A może ja też mam rację? — zapytał. — Jak sądzisz?

— Nie rozumiem.

— Nigdy niczego nie rozumiesz.

— Co masz zamiar zrobić? — zapytała.

— Może trzeba porozmawiać z tym człowiekiem. Powinien zrozumieć i zostawić dziewczynę w spokoju.

Starzejący się mąż zapala kolejnego papierosa i milczy.

— Odezwij się! — błaga go kobieta. — Powiedz coś!

— Proszę cię — mówi z okrutną uprzejmością mężczyzna. — Bądź taka uprzejma, podaj mi gazetę, kochanie... Jeszcze nie czytałem dzisiejszej gazety.

Kobieta podaje mu gazetę, wybucha histerycznym śmiechem i dławiąc się płaczem odchodzi w głąb cichego szarego mieszkania.

cecylia błońska

niecierpliwym ku przestrodze

...Temu rygorowi nikt z nas nie odważył się sprzeciwiać: książkę, jaką otrzymywała biblioteka, należało przeczytać w przeciągu jednej nocy, nazajutrz rano zwracając ją do wypożyczalni. Tylko pod tym warunkiem my — jak by się to dziś nazywało — członkowie koła przyjaciół biblioteki w mieście P., a faktycznie prowadzący ją całkowicie społeczny... siłami, uzyskiwaliśmy prawo przeczytania każdej nowości.

Było to w r. 1938, gdy świat w sposób wyraźny już zaczynał chwiać się w posadach. Jednym tchem, od wieczora do pierwszego brzasku, przeczytałam **„Niecierpliwość serca" Stefana Zweiga.**

Lektura była pasjonująca. Abstrahując od sztafażu, od tła trochę przestarzałego, w którym autor umiejscowił akcję, akuratnie na kilka miesięcy przed wybuchem I wojny światowej, odrzucając warstwę jakby dla filmu pomyślanej anegdoty — a więc małą austriacką mieścinę z pułkiem ambitnych, młodych ułanów, trochę tajemniczy pałac — posiadłość w niejasny sposób wzbogaconego nieszczęśliwego bogacza, pozorne powaby c. k. Austro-Węgier, sam konflikt jest jak najbardziej współczesny, zaistnieć może zawsze, w każdym środowisku.

W zamku wegetuje młodziutka, urocza dziewczyna, ukochanie ojca, domowników, sparaliżowana, kulami przykuta do inwalidzkiego fotela.

Hofmiller — młody porucznik, odbywający służbę w pułku, z początku powodowany snobizmem, później ogarnięty litością, zaczyna bywać w domu sparaliżowanej Edyty. Beztroski, towarzyski, nie spostrzega, że w sercu dziewczyny wzbudził namiętną miłość.

Edyta nie wie, że jej choroba jest nieuleczalna. Płomienne uczucie, jakim zapałała do młodego człowieka, tchnie w to słabe stworzenie przemożną wolę leczenia się, powrotu do zdrowia, właśnie dla niego.

Do szlachetnego oszustwa włącza się szlachetny lekarz: nieszczęśliwa dziewczyna chce poddać się proponowanej przez niego nowej kuracji, która w niczym jej kalectwa nie umniejszy.

Hofmiller uległszy z litości, godzi się na ogłoszenie zaręczyn; nie ma jednak dość siły, by związawszy się z ułomną, na całe życie akceptować konsekwencje tego kroku. I on i ona cierpią na to, co Zweig nazywa n i e c i e r p l i w o ś c i ą s e r c a. Choć uczciwy, dający się powodować szlachetnym pobudkom, Hofmiller niezdolny jest wyrzec się perspektywy własnego szczęścia na rzecz dziewczyny, której los, o czym doskonale poinformowany jest przez lekarza, całkowicie spoczął w jego ręku. W tchórzliwy sposób zapiera się wobec kolegów związku z kaleką, w popłochu ucieka z miasteczka itd.

Edyta, czując się ostatecznie oszukana, zawiedziona, samobójczą śmiercią uwalnia się od uczucia, które pochłonęło ją ze zwyczajną dla jej wieku młodzieńczą niecierpliwością serca, w momencie, gdy tak beznadziejnie ukochany przez nią człowiek, zdecydował się ostatecznie przenieść jej dobro ponad swoje szczęście.

Problem litości, miłości, odpowiedzialności za swą postawę, za swoje decyzje w stosunku do drugiego człowieka, zwłaszcza w odniesieniu do osoby nieszczęśliwej, słabszej, wydaje się pochłaniać pisarza bez reszty, gdyż niezrównoważonemu Hofmillerowi przeciwstawia konsekwentnego, choć na pozór nieefektownego lekarza, który sam poślubił kobietę niewidomą, i nie bacząc na zgryźliwości mieszczańskiej opinii, otacza ją największą czułością, szczęśliwy, iż łagodzić może jej okrutny los.

Jest jeszcze jeden wątek psychologiczny w „Niecierpliwości serca" wyeksponowany z dramatyczną siłą: to kompleks samobójczej śmierci, który prześladuje Edytę obok czy raczej na skutek jej kalectwa. Czytelnik, nie złudzony szychem jej magnackiej rezydencji, wspaniałego tarasu, z którego nieszczęśliwa kaleka w szerokim zasięgu okolicy oglądać ma, niczym w cineramie, bogactwo ojca, może przypuszczać, iż kiedyś z tego tarasu rzuci się ona w objęcia śmierci.

...Po dojściu Hitlera do władzy, Zweig wyemigrował z Austrii do Anglii, później do Brazylii. Tam w r. 1942, a więc wówczas, gdy wydawać się mogło, że losy wojny są w jakiś sposób przesadzone, i on powodowany n i e c i e r p l i w o ś c i ą, w przeczuciu niekojonych cierpień, w smutku po utraconej ojczyźnie, wraz z żoną pozbawił się życia.

Autor „Dwudziestu czterech godzin z życia kobiety", „Świata wczorajszego" „Pierwszego przeżycia", a równocześnie mistrz historycznej monografii ujawniałby w „Niecierpliwości serca" swe najbardziej osobiste niepokoje?

Państwowy Instytut Wydawniczy wznowił „Ungeduld des Herzens" w przekładzie Zofii Petersowej; to, znakomitym pisarstwem Zweiga przeobleczone w kształt fascynującej powieści studium o współczuciu aktywnym, twórczym, rozpatrujemy dziś w aspekcie wielkiej, współczesnej dyskusji o prawidłowości stosunków międzyludzkich w świecie, który budujemy na nowych podstawach. Czytamy z perspektywy, jakże wielkich w tej dziedzinie doświadczeń, i zawstydzających, i wzniosłych, których nie oszczędziła nam ostatnia wojna.

A chwiejny Hofmiller sprawca samobójczej śmierci Edyty przeżył z kolei kataklizm, wojnę roku 1913. Jeśli przypuszczał, że w wielkiej rzezi narodów, on wojskowy zdoła uwolnić się od ciężaru własnych wspomnień, przeliczył się srodze.

Po wielu latach, drobny nic nie znaczący szczegół, przypomni mu tragedię, którą sprawił, wiedziony niecierpliwym egoizmem. I wówczas ze smutkiem, który niczego już nie zdolny jest odwrócić, przyjdzie mu stwierdzić, „iż żadna wina nie jest zapomniana, d o p ó k i p a m i ę t a j ą s u m i e n i e"...

Ekslibrys znów w modzie

Międzynarodowa wystawa ekslibrysu współczesnego czynna obecnie w Muzeum Narodowym, a eksponowana już w roku ubiegłym w Malborku, cieszy się dużym zainteresowaniem miłośników książki i grafiki. O polskim ekslibrysie mówi historyk sztuki dr Andrzej Ryszkiewicz — autor książki z tego zakresu i znany zbieracz.

— Ekslibrys pojawił się w Polsce około 1500 roku, równocześnie z pierwszą książką w języku polskim. Dopiero jednak w XVIII wieku posiadanie ekslibrysu staje się obowiązującą modą. Wykonany najczęściej techniką miedziorytniczą, zdobi księgozbiory królewskie, magnatów, szlachty, klasztorne. Powstaje też tradycja kolekcjonowania ekslibrysów, zwanych wówczas „kartkami bibliotecznymi".

Polski ekslibrys należy obecnie, podobnie jak plakat, do światowej czołówki. Jednym z dowodów tego uznania są organizowane w Polsce międzynarodowe wystawy ekslibrysów.

Pierwsza międzynarodowa wystawa ekslibrysu zorganizowana przed dwoma laty w Malborku, a eksponowana następnie w Warszawie i Krakowie, wywołała ogromne zainteresowanie. Wybór prac polskich z obydwu biennale zaprezentowano ostatnio z wielkim powodzeniem w Londynie i kilku innych miastach angielskich. Szereg bardzo pochlebnych recenzji na ten temat utrwalił pozycję polskiego ekslibrysu.

Pisać o programie polskiej telewizji znaczy powtarzać co pewien czas serię narzekań i wybrzydzania oraz co pewien czas (na pewno znacznie rzadziej) zachłysnąć się pięknem, starannie i z talentem przygotowanej audycji. To jest ów schemat, narzucony recenzentowi przez samą telewizję; schemat przykrojony perfidnie, bo recenzent czuje się w obowiązku tę znakomitą audycję omówić w miarę szczegółowo, co automatycznie skraca miejsce na omówienie rzeczy złych, niemrawie zrealizowanych, względnie zupełnie nijakich. Z góry przeto mówię, by za często nie powtarzać o nudzie programowej, że ostatni tydzień zaplanowano wedle powyższego schematu zupełnie genialnie: dużo niesprawności, przypadkowych programików, jedno superpaskudztwo — odwołanie przez zaskoczenie półtoragodzinnego programu baletów jednoaktowych z Moskwy, cztery programy teatralne (w tym Sfinks, teatr niedzielny, poniedziałkowy i piątkowy) — a więc rozmaitość niesłychana i rozrywka sobotnia z koszmarnego zdarzenia, którą nazwano dobroduszznie i obiecująco „Przy sobocie po robocie" i uczęstowano nią uczestników V Kongresu NOT-u.

Przepis na tę ostatnią też szczyci się swoim schematem prawie historycznym: jeden konferansjer, niekoniecznie dowcipny, budujący ów dowcip na zasadzie prowokowania oklasków, dwie, trzy piosenkarki, nieco akrobacji, na które cyrkowcy patrzą z pogardą i quiz o trudności testowej adekwatnej do mentalności 7-latków. I t o trwa blisko dwie godziny, przy tym ma być namiastką rozrywki najlepszej, sobotniej rzeczywiście zaaplikowanej widzowi po 6-dniowej robocie!

O Sfinksie pisałam 2 tygodnie temu — myślę, że dałoby się powtórzyć to samo o widowisku A. Minkowskiego „Zeus musi lądować", któremu nie pomógł nawet Krzysztof Chamiec i tu eksplodujący talentem. Upodobali sobie autorzy Sfinksa science — fiction i demonstrują nam kolekcję automatów, które co najwyżej mogłyby być pralkami przyszłości, nie urządzeniami świadczącymi o piramidalnym postępie nauki. Poza tym rzecz była wyświetlana w przyzwoitej godzinie, tak że nic nie stoi na przeszkodzie, by Sfinksa polecać naszym najmłodszym.

Myślę, że już Was dostatecznie zdenerwowałam przypomnieniem o dwóch programach, które miały stanowić fundamentalną rozrywkę ubiegłego tygodnia, by dokładać jeszcze serię niewypałów publicystycznych, czy magiczną niedzielną transformację konia w sowę. Koń przestał mówić z powodu technicznej obróbki i sakramentalnych usterek, „Sowa" wróciła jak bumerang i pohukiwała gromko w starym zabytku. „Trzecia ręka" jutro — „Śpiący nie kłamie" — oto naga prawda o kłamliwym serialu, który ku mojej rozpaczy straszy na szklanym ekranie i to straszy poprzez świetnego skądinąd aktora.

Czas nareszcie wrócić do pojęcia wartości: Teatr Niedzielny zaprezentował jednoaktówkę Niekrasowa „Jesienna nuda" w reżyserii Jerzego Antczaka i znakomitej obsadzie, że wspomnę choć Łapińskiego i Benoit. To była sztuka wybitnie telewizyjna, zrobiona z talentem i przez reżysera, i przez wykonawców — sztuka świadcząca o potrzebie kontynuowania niedzielnych popołudniówek, zwartych, mniej znanych, w teatrze nie grywanych, ba, czasem i niescenicznych. Idea tak pojętego Teatru Niedzielnego warta jest kontynuacji cotygodniowej, a aktorstwo Łapińskiego ocierało się o genialność. Bo cóż on nie zrobił ze swego jaśnie pana; zdziecinniały staruch, opętany nudą, usadzony na włókach pośród rosyjskich błot, z dala od klubów Petersburga przeżywa któryś raz z rzędu jesienny wieczór, podobny zresztą do innych. Staruch zakochany w spaniu i jedzeniu. Staruch dobroduszny, do cna zgłupiały, w gruncie rzeczy sympatyczny, dożywający swoich dni po na pewno szumnej młodości. Świszcze wiatr, wyrwany ze snu przygłupi sługa tupie bosą nogą parodię kozaka, służba chrapaniem wstrząsa sufitami dworku — wegetacja; pozornie nic się nie dzieje.

Antczak wyreżyserował małe arcydzieło teatru telewizyjnego, gdzie cieniutka ironia wydobyła całą nędzę egzystencji ludzkiej, monstrualnej brzydoty życia, smutku, a nawet drapieżności. Dawno nie oglądałam przedstawienia o tak zwartej koncepcji reżyserskiej, tak spreparowanego w szczegółach, i tak świetnie wykorzystującego możliwości telewizyjne. To było właśnie owe nieczęste zachłyśnięcie się starannym z talentem przygotowanym spektaklem!

KRYSTYNA

P. S. Nie mogę nie wspomnieć także o wtorkowym programie reportażowym Józefa Błachowicza, który był rarytasem w zakresie publicystyki. Aktorami w tym wypadku byli chłopi z przysły Piaseczno, a scenerią — spotkanie władz powiatowych z ludnością swojego obszaru. Maszyny, grunt, młocki, kontraktacja, żale i pretensje złożyły się na ten reportażyk i w dynamicznym tempie pokazały nam nie tylko fotogeniczność ludzi żywych, ale pokazały także samotność człowieka w obliczu paragrafów i zarządzeń, poprawną li tylko pracę instytucji, otwarowanej papierkami i opłatami skarbowymi, odrzucającej precz stary obyczaj informowania „na gębę", przy tym informowania rzetelnego. I pomyśleć, że telewizja mogłaby ciągle aplikować nam podobny reportaż, choćby ze spotkań z posłami i radnymi — reportaż tanimi środkami spreparowany, a tak bardzo pożyteczny i filmowy. Reportaż, gdzie aktor produkując się gratisowo, przywołuje do rozsądku prostym słowem!

K.

Afryka na Vaticanum II

Jeśli kwo miał wątpliwości, czy rzeczywiście pozycja katolicyzmu na terenie Afryki tak bardzo się wzmogła w ostatnich latach — pozbył się ich prawdopodobnie, jeśli obserwował przebieg Soboru Watykańskiego II. Tam właśnie, w auli soborowej i w komisjach ujawniła się prężność autochtonicznego kleru na soborze, podniecona nominacjami biskupimi i przyznaniem przez Pawła VI drugiego kapelusza kardynalskiego czarnemu przedstawicielowi Afryki.

Tematem dyskusji, w którym afrykańscy uczestnicy Soboru czuli się najpewniej (i najczęściej też zabierali głos) był problem misji. Przedstawiciele Afryki wypowiadali się śmiało i wnieśli wiele daleko idących spostrzeżeń i postulatów nadając dyskusji szczególny „afrykański charakter".

Jako pierwszy w debacie nad schematem „O działalności misyjnej Kościoła" zabrał głos znany konserwatysta kardynał Ruffini. Stanął on w obronie tradycyjnego pojmowania misji. Nie można — twierdził kardynał — przypisywać „ludowi bożemu" ogólnej władzy, która właściwie przysługuje hierarchii kościelnej. Pogląd ten spotkał się z repliką kardynała austriackiego Koeniga oraz innych mówców z Europy. Ich głosy, aczkolwiek ważne, nie odegrały jednak w dyskusji tak istotnej roli, jak wystąpienia przedstawicieli Afryki.

Kardynał L. Rugambwa, biskup Bukoby w Tanganice, powołał się na encykliki Jana XXIII i podkreślił, że Kościół winien kultywować solidarność z całą ludnością, w pierwszym rzędzie z opuszczonymi i ubogimi, że powinien zwracać się z apelem do wszystkich ludzi dobrej woli i mieć na uwadze nie tylko świat zachodni, lecz również nowych wyznawców, pochodzących z różnych kontynentów. Ten sam murzyński dostojnik Kościoła postulował rzecz dla misji kardynalną, mianowicie przystosowanie Kościoła do potrzeb misji, a nie, jak było dotychczas, przystosowanie misji do potrzeb Kościoła.

W analogicznym duchu przemawiał drugi kardynał afrykański P. Zoungrana, arcybiskup Quagadougou w Górnej Wolcie. Stwierdził on, że dotychczasowa sytuacja, w której cała odpowiedzialność za apostolstwo i kierowanie działalnością misyjną spoczywała w ręku misjonarzy, jest nie do utrzymania. Odpowiedzialność ta, zdaniem murzyńskiego kardynała, musi być stopniowo przejmowana przez biskupów i kler lokalny, misjonarze zaś muszą stopniowo przyjmować postawę służenia i współpracy, a nie kierowania.

Postulat podporządkowania misjonarzy hierarchii diecezjalnej w krajach misyjnych powtarzało wielu murzyńskich uczestników soboru, a wspomniany kardynał z Górnej Wolty, zabierając głos w dyskusji plenarnej podkreślił konieczność istnienia zgromadzeń misyjnych, jednakże całkowicie wintegrowanych w miejscową organizację Kościoła. Biskup J. Sibomana z Rwandy z całą siłą stwierdził, że misjonarze muszą wykonywać swą pracę pod kierunkiem biskupów lokalnych. Nie mogą istnieć — mówił — dwa posłuszeństwa — zakonne i misyjne, gdyż każda władza pochodzi od Boga, a Bóg jest jeden — dlatego biskup lokalny winien być również formalnym zwierzchnikiem misjonarza, który ma podlegać jego władzy duszpasterskiej oraz jurysdykcji.

Wystąpienia te zdają się wskazywać nie tylko na potrzeby poszczególnych diecezji afrykańskich, ale także na wzrastanie poczucia narodowego i dążenia do samodzielności afrykańskiej również na terenie kościelnym. Oto np. Izaak Ghattas, arcybiskup Teb dla koptów w Egipcie, zarzucił schematowi XIII, że mówi on o wielu rodzajach wspólnot — z wyjątkiem społeczności narodowej.

Kościół zbyt długo był związany z systemem kolonialnym, aby obecnie radykalnie się mu nie przeciwstawiać. Toteż afrykańscy biskupi domagali się w czasie dyskusji nad schematem XIII zdecydowanego potępienia kolonializmu, rasizmu, a w szczególności apartheidu, prowadzonej w Afryce Południowej. Wypowiadał się w tej materii w sposób jednoznaczny biskup Konakry w Gwinei — Tchidimbo. Poparło go wielu innych afrykańskich uczestników soboru. Biskup D. Youghare z Koupea w Górnej Wolcie zażądał ponadto, aby Sobór wyraźnie stwierdził, że Kościół nie ma zamiarów imperialistycznych, a ewangelizacja nie spełnia żadnych funkcji politycznych.

W debacie nad problemem wolności religijnej biskupi Afryki zaznaczyli również swą aktywną obecność na Soborze. Biskup H. Ddungu z Masaka w Ugandzie podkreślił konieczność uchwalenia przez Sobór zasady wolności religijnej. J. Zoa, arcybiskup Yacunde z Kamerunu w imieniu biskupów Afryki i Madagaskaru zwrócił uwagę na szczególną doniosłość deklaracji o wolności religijnej dla krajów Afryki, gdzie niejednokrotnie chrześcijanie byli dalecy od stosowania zasady wolności religijnej w praktyce. Uchwalenie tej deklaracji jest, zdaniem biskupa, konieczne nie tylko ze względów ekumenicznych, ale także ze względów misyjnych.

Popieranie deklaracji o wolności religijnej nie przeszkadzało oczywiście afrykańskim biskupom w kładzeniu nacisku na twierdzenie, że zbawienie można osiągnąć wyłącznie w Kościele rzymskim.

Jednym z podstawowych problemów afrykańskiego katolicyzmu, poruszanych przez biskupów, jest szerokie rozbudowanie tzw. apostolstwa świeckich, które — jak to postulował arcybiskup Lusaka w Południowej Rodezji, Adam Kozłowiecki — ma być oparte o szeroką i wolną działalność laikatu.

Również w dyskusji nad problemami rodziny nie zabrakło głosów przedstawicieli Afryki. Wypowiadali się w tej sprawie biskup Port Hartcourt w Nigerii G. Ohoye oraz biskup Umuahia w Nigerii A. Nwedo. Obydwaj murzyńscy uczestnicy Soboru zwrócili uwagę na obowiązki wychowawcze rodziców, a także na konieczność zastępowania w szkołach duchownych wykładowców świeckimi, po to jednakże, aby można było wszystkich duchownych zmobilizować w kierunku działalności misyjnej.

Rola biskupów afrykańskich na Vaticanum II nie sprowadzała się wyłącznie do przedstawienia problemów bezpośrednio związanych z pracą misyjną na ich własnym terenie. Wywarli oni także istotny wpływ na kształtowanie się ogólnej opinii soborowej i na ogół poparli soborowe ugrupowania reformistyczne. W zakresie „spraw afrykańskich" biskupi tego kontynentu domagali się pełnego przystosowania Kościoła do potrzeb misji; umocnienia wielokulturowości katolicyzmu i stosowania adaptacji na terenach misyjnych; podporządkowania misji prowadzonych dotychczas przez centralnie zarządzane zrzeszenia afrykańskim biskupom ordynariuszom; propagowali zarazem tolerancję liturgiczną i obywatelską, wypowiadając się za „otwartością„ schematu „O liturgii" oraz za możliwie szeroko pojętą wolnością religijną.

TADEUSZ PŁUŻAŃSKI

NA WPROST

„Panowie i Kmiotki"

Kiedyś przy stoliku kawiarnianym jeden z moich znajomych nazwał swojego przyjaciela „kmiotkiem". Nie chodziło mu przy tym o miejsce zamieszkania lub pochodzenie. Chciał przez to powiedzieć, że przyjaciel jest tępym prymitywem i prostakiem nie umiejącym ocenić intelektualnego dowcipu. Określenie miało więc charakter symboliczny.

Niedawno rozmawiałem z jednym z urzędników prez. rady narodowej. Udzielał mi grzecznie informacji, lecz gdy wszedł do pokoju starszy, biednie ubrany rolnik i coś zapytał, mój rozmówca fuknął na niego zupełnie innym tonem: „Ślepi jesteście dziadku, nie umiecie czytać? Idźcie do pokoju po drugiej stronie korytarza i nie zawracajcie mi głowy". Gdy tamten wyszedł, urzędnik dodał konfidencjonalnie: W dzień targowy trudno u nas wytrzymać. „Wiocha" plącze się pod nogami, tak że kroku nie można zrobić. Później dowiedziałem się, że urzędnik pochodził ze wsi i dotąd mieszka u rodziców na wsi.

W autobusie licealista strofuje starszą kobietę z tobołkiem na plecach: „Co się matka pchacie z tym namiotem. Na jarmark zdążycie piechotą".

W Głogowie w restauracji „mieszczanin" w kufajce i gumiakach zwraca się do chłopów również w kufajkach i gumiakach: „Wy rolniki nie zajmujcie tu ludziom miejsca — idźcie patrzeć czy wam tam kapusta rośnie".

I tak jest wciąż i wszędzie: kelner ofuknie i oszuka przy rachunku, ekspedientka nie chce pokazać towaru (co będziecie oglądać i brudzić — i tak nie kupicie), konduktor rubasznie zażartuje, gdy kobieta wiejska nie może sobie poradzić z pieniędzmi w węzełku, a koltun mało miasteczkowy lamentuje — Co te chłopki wyprawiają, szpilki, kapron, motory, kawiarnie, a kto będzie gnój rozrzucał i krowy pasł?

W pamiętnikach młodzieży wiejskiej wydanych pod wspólnym tytułem „Awans pokolenia" jedna z pamiętnikarek pisze o tych nastrojach w związku z zakupieniem przez siebie pralki. Autorka czeka z nabytkiem na dworcu autobusowym i słyszy wokół siebie uwagi: „Boże, co się to robi — pralki, motory, telewizory, to wszystko chłopy chcą mieć. Dawniej koszulę uprali sobie na rzece kijanką a teraz całkiem im się w głowie przewraca. Niedługo już nie odróżni się chłopa ze wsi od naszych ludzi".

Przykłady można by mnożyć, każdy z nas styka się z nimi na codzień w każdej prawie sytuacji. Wprawdzie kiedyś, przed wojną, zjawiska ostrego konfliktu między wsią a miastem były o wiele ostrzejsze i bardziej zdecydowane, ale wtedy wynikało to ze stosunków społecznych i było jedną z form walki klasowej.

Dzisiaj bardzo często taki stosunek do chłopów i wsi pojawia się u ludzi, którzy sami pochodzą ze wsi i awans na mieszczuchów uzyskali dzięki przemianom społecznym w socjalizmie. Większość bowiem tych urzędników, ekspedientów, konduktorów i kelnerów niedawno pasło krowy. Obarczeni kompleksami niższości wobec zasiedziałych mieszkańców miast usiłują zapomnieć o swym pochodzeniu — odciąć się od swego dawnego środowiska przez wtórowanie antydemokratycznym nastrojom wciąż uparcie tkwiącym w miastach. A te nastroje z kolei rodzą się z poczucia zagrożenia uprzywilejowanej pozycji mieszczaństwa przez aktywność i ambicje kulturowe i cywilizacyjne współczesnej wsi.

Może nie należy załamywać rąk nad tym stanem rzeczy. Może to tylko produkt uboczny procesu zanikania sztywnego podziału na kulturę i obyczajowość „chłopską" i „pańską". Produkt niewątpliwie szkodliwy, lecz nie mający wpływu na przebieg tego procesu. Zaryzykowałbym twierdzenie, że ta pogarda dla wiejskości i „kmiotkowatości" nawet przyśpiesza te przemiany. Stąd bierze się zanik folkloru, strojów ludowych obrzędów i obyczajów wiejskich. Dlatego młodzież nie kwapi się do uczestnictwa w regionalnych zespołach pieśni i tańca lub w kapelach ludowych.

Nikt nie chce przecież być tym gorszym, tym głupim, źle traktowanym. Jeśli już musi się mieszkać na wsi, to nie trzeba na wieśniaka wyglądać, nie trzeba zamykać się w getcie odrębnej obyczajowości.

Ale straty tego przyśpieszenia są duże. Giną po drodze wielkie wartości kulturowe, stanowiące dorobek całych wieków. Zbyt łatwo wyrzuca się za burtę tradycję, zbyt szybko wytwory ludowej kultury materialnej stają się muzealnymi unikatami.

Dziwimy się również i ubolewamy, że nikt z młodych, zdolnych, energicznych ludzi nie chce na wsi pozostać, że nasila się wciąż odpływ młodzieży wiejskiej do miast, i do zawodów pozarolniczych. Czy przy tych nastrojach należy się temu dziwić? Wybierając zawód rolnika zostaje się dla wielu ludzi nadal „chłopem" lub nawet „chamem".

Powie ktoś, że przesadziłem, że na ogół tak źle nie jest. Istotnie mówiłem o przypadkach drastycznych skrajnych w swej wyrazistości, ale jednak powszechnych. Zresztą subtelne toniki wyższości, pobłażliwego lekceważenia chłopów lub też rozwodzenia się nad egzotyką tego środowiska pojawiają się u ludzi skądinąd bardzo kulturalnych i pozbawionych złej woli. Dlatego nie należy się dziwić, że wiele ludzi ze wsi oburza się na gawędy sołtysa Kierdziołka widząc w nich próbę podrwiwania z chłopów, protestuje przeciw audycji radiowej „Wesoły autobus", czy nawet niektórzy — przeciw powieści radiowej „W Jezioranach". Mieszkańcy wsi są bowiem w tej sytuacji szczególnie uwrażliwieni na wszystko, co ich upokarza i ośmiesza. Dość już mają traktowania „przez ramię"; chcą być naprawdę zrównani we wszystkim z każdym obywatelem naszego kraju. Powinniśmy zrobić wszystko, by im to zapewnić. A jakimi metodami? Niech już nad tym głowią się specjaliści od pedagogiki społecznej.

JOTGIEL

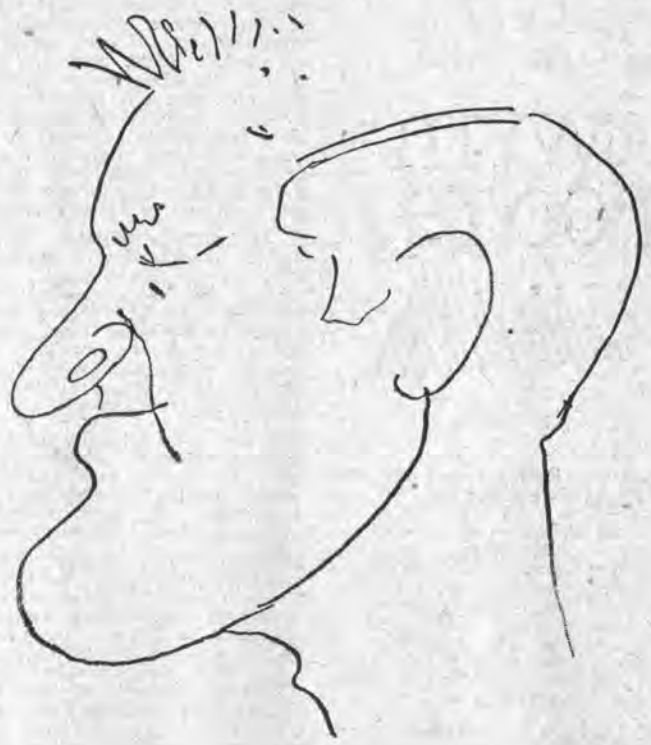

MACIEJ SKOWROŃSKI — dyrektor Uniwersytetu Ludowego we Wzdowie

RYS. J. SIENKIEWICZ

Dla uczczenia Tysiąclecia

Tysiące domów kultury, klubów i świetlic, bibliotek i zespołów artystycznych w kraju weźmie udział w Ogólnozwiązkowym Festiwalu Kulturalnym 1966/67.

Przygotowania do tej imprezy, stanowiącej bardzo ważny akcent roku, zamykającego obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego są już w naszym województwie poważnie zaawansowane. Jak informowaliśmy, ostatnio działa już Komitet Organizacyjny, a Prezydium Komisji Kultury WKZZ ustaliło plan i terminy imprez wojewódzkich.

Program festiwalu obejmuje przeglądy amatorskiego ruchu teatralnego (przeglądy teatrów dramatycznych, teatrów słowa, teatrów lalkowych, recytatorów i zespołów estradowych). Odbędą się również przeglądy chórów, orkiestr dętych, zespołów instrumentalnych, kapel ludowych, zespołów wokalnych oraz solistów. Zaplanowano również występy zespołów pieśni i tańca, zespołów tanecznych i dziecięcych. Amatorzy plastycy i fotoamatorzy zaprezentują swój dorobek na specjalnych wystawach. Organizowany przez „Głos Pracy" konkurs-plebiscyt „Bliżej książki współczesnej" ma za zadanie popularyzację polskiej literatury współczesnej, a plebiscyt „Poznajmy film polski 1965 roku" — zapoznanie się z ostatnimi nowościami polskiej kinematografii. Współzawodnictwo placówek kulturalno-oświatowych, które zostanie podsumowane w przyszłym roku, przyczyni się do aktywizacji tych ośrodków szerzenia kultury.

Dla informacji podajemy, że przeglądy środowiskowe wszystkich form artystycznych w placówkach rozpoczną się 1 maja i trwać będą do 15 czerwca, natomiast poszczególne zarządy okręgowe zw. zaw. w dniach 15 sierpnia do 30 września zorganizują przeglądy w podległych im branżach.

Jednym słowem, wielki festiwal! W miarę możliwości będziemy informować o przygotowaniach do poszczególnych imprez, jak również o ich przebiegu.

(stanski)

ZANIM POPEŁZNĄ SKARABEUSZE

Oczekiwany z niecierpliwością od trzech lat film Jerzego Kawalerowicza według powieści Bolesława Prusa „Faraon" rozpoczyna się pamiętną czytelnikom książki sceną, w której armia młodego Ramzesa napotyka pełznące i walczące w rozpalonym pustynnym piasku skarabeusze, święte wizerunki Amona. Na rozkaz arcykapłana Herhora armia zboczy i zniszczy przemarszem kanał zbudowany ciężką pracą fellaha.

Już wkrótce zobaczymy te sceny i całe dzieło znanego reżysera, Ekspozytura CWF zapowiada bowiem rzeszowską premierę „Faraona" na pierwszą połowę marca. Zanim to nastąpi proponujemy naszym czytelnikom kilka informacji o tym filmie.

Najpierw dane techniczne i cyfrowe. Szerokoekranowy „Faraon" zrealizowany na taśmie barwnej Eastmancolor ma 5.030 m długości. Oprócz odtwórców głównych postaci gra w nim kilkuset statystów cywilnych i 2.000 żołnierzy radzieckich „pełniących obowiązki" starożytnych wojowników. Armia ta miała do dyspozycji 6.000 „mundurów", 3.000 par obuwia, a na uzbrojeniu 3.000 tarcz, 2.400 dzid i włóczni, 700 łuków i 13.000 strzał do nich, 400 proc i 2.000 gumowych „kamieni".

Film kręcono w 3 częściach świata: Europie, Azji i Afryce. Nil zagrało jedno z jezior pod Giżyckiem, sceny batalistyczne filmowano pod Bucharą w Uzbekistanie, rozmowę Ramzesa z Pentuerem, sceny z labiryntu — w Egipcie. Zdjęcia w Egipcie były najtrudniejsze — nowoczesne zagospodarowanie terenu i tłumy turystów sprawiały mnóstwo kłopotów.

Jednym z wielu konsultantów filmu był znany uczony polski prof. Kazimierz Michałowski, słynny odkrywca wielu zabytków egipskich, innym zaś — egipski naukowiec Shady Abdel Salem, rzeczoznawca obyczajów i realiów życia w starożytnym Egipcie. Opinia p. Salema (m. in. konsultanta słynnej „Kleopatry") o „Faraonie": — Po raz pierwszy mam do czynienia z filmem przynoszącym tak wierny obraz starożytnej cywilizacji.

Na zakończenie — obsada. Ramzesa XIII i jego zabójcę Lykona gra Jerzy Zelnik, student PWST im. Zelwerowicza w Warszawie, Sarę — absolwentka krakowskiej PWST im. Solskiego — Krystyna Mikołajewska, Herhora — Piotr Pawłowski, Kamę — Barbara Brylska. Ponadto wśród licznej grupy wykonawców zobaczymy m. in. Leszka Herdegena (prorok Pentuer), Stanisława Milskiego (arcykapłan Mefres) — Mieczysława Voita (kapłan Samentu), Ewę Krzyżewską (Hebrom) i Kazimierza Opalińskiego (prorok chaldejski Berces).

Scenariusz filmu napisali Tadeusz Konwicki i Jerzy Kawalerowicz. Zdjęcia są dziełem Jerzego Wójcika. Scenografia — Jerzy Skrzepiński.

(S.)

Zdarzenia tygodnia

20 bm., tj. w niedzielę; zespół teatralno-muzyczny Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie wystawi premierę 3-aktowej operetki Jurija Milutina — „Trembita".

Kierownictwo i opracowanie muzyczne mgr Kazimierz Fic, reżyseria Marian Koc, kierownictwo artystyczne Ludwik Stein. Scenografia Zdzisława Ratuszyńskiego.

* * *

W dniu 11 lutego br. w Rzeszowie odbyło się zorganizowane przez Wydział Kultury Prez. WRN spotkanie nauczycieli szkół artystycznych, studiów nauczycielskich, przedstawicieli związków zawodowych, teatru i estrady z doc. Ireną Wojnar, pracownikiem naukowym Uniwersytetu Warszawskiego, poświęcone wychowaniu współczesnego człowieka przez sztukę.

Jak wynikało z ożywionej dyskusji istnieje potrzeba organizowania w przyszłości tego rodzaju spotkań.

* * *

W czwartek w Jarosławiu, w piątek w Rzeszowie odbyły się „Wieczory symfoniczno-baletowe", zorganizowane przez rzeszowską Państwową Orkiestrę Symfoniczną.

Program wieczorów wypełniły występy orkiestry, którą dyrygował Janusz Ambros i pary tanecznej — Liliany Kowalskiej i Kazimierza Wrzoska, solistów Opery Bałtyckiej.

Dziś, tj. w sobotę, podobne imprezy odbędą się w Rzeszowie (dla młodzieży szkolnej) i w Krośnie.

* * *

W dniu 9 bm. odbyło się posiedzenie Prezydium Rady Opiekuńczej przy WKZZ w Rzeszowie. Na posiedzeniu omówiono sposoby realizacji tegorocznego planu pracy. Zakłada on m. in. uaktywnienie powiatowych rad opiekuńczych oraz przeprowadzenie kontroli w zakładach pracy, które w myśl uchwały CRZZ winny udzielać szkołom pomocy w wychowaniu młodego pokolenia. Rada Opiekuńcza zobowiązała się udzielać pomocy ZHP w realizacji konkursu, organizowanego przez tę organizację w ramach akcji „Więź", polegającego na zapoznawaniu młodzieży z zakładami pracy.

* * *

W środę na Uniwersytecie Ludowym we Wzdowie odbyło się zakończenie 3,5-miesięcznego kursu gospodarzy klubów rolnika, prowadzonych przez spółdzielczość zaopatrzenia i zbytu.

Organizatorami kursu były WZGS i sekcja uniwersytetów ZW ZMW w Rzeszowie. 55 uczestników kursu zapoznawało się z założeniami pracy, prowadzonych przez nich placówek i formami pracy kulturalno-oświatowej na wsi.

* * *

15 bm. odbyło się posiedzenie sekcji bibliotek Komisji Oświaty WKZZ w Rzeszowie, poświęcone omówieniu zagadnień dotyczących działalności bibliotek związkowych.

Przedyskutowano m. in. możliwości naboru bibliotekarzy na 2-letnie Korespondencyjne Studium Bibliotekarskie, opracowano program szkolenia i formy pomocy bibliotekom niżej zorganizowanym. Wiele uwagi poświęcono przygotowaniom do podsumowania konkursu-plebiscytu „Bliżej książki współczesnej".

* * *

W Przemyślu i Nisku odbyły się 2-dniowe seminaria dla wiejskiego aktywu kulturalno-oświatowego. Organizatorzy poświęcili je omówieniu sposobów wykorzystania sprzętu audiowizyjnego w wiejskiej placówce k. o.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa", Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2056, 2057 — wewn. 134 Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.